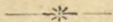


BIBLIOTEKA OZIEŁ WYBOROWYCH

WYCHODZI CO TYDZIEŃ

w objętości jednego tomu.



WARUNKI PRENUMERATY

w WARSZAWIE:

Z przesyłką pocztową:

Rocznie . (52 tomy). rs. 10	}	Rocznie . (52 tomy) rs. 12
Półrocznie (26 tomów) „ 5		Półrocznie (26 tomów) „ 6
Kwartalnie (13 tomów) „ 2 kop. 50		Kwartalnie (13 tomów) „ 3
Za odnośnienie do domu 15 kop. kwart.		

Cena każdego tomu 25 kop., w oprawie 40 kop

DOPLATA ZA OPRAWĘ:

Rocznie . (za 52 tomy)	rs. 6 kop. —
Półrocznie. (za 26 tomów).	„ 3 „ —
Kwartalnie (za 13 tomów).	„ 1 „ 50

Za zmianę adresu na prowincyi dopłaca się 20 kop.

Główni współpracownicy:

Dr. Piotr Chmielowski,
Teodor Jeske-Choiński,
Dr. Julian Ochorowicz,
Julian Adolf Święcicki.

WYDAWCY

Granowski i Sikorski.

REDAKTOR

Franc. Jul. Granowski.



Redakcja i Administracja: Warszawa, Nowy-Swiat 47. — Telefonu 554
Filie: w Łodzi ul. Piotrkowska № 52, — we Lwowie Plac Maryacki 1. ♣

Drukarnia Granowskiego i Sikorskiego, Nowy-Swiat 47.

BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH.

№ 93.

PAMIĘTNIKI
SIERŻANTA BOURGOGNE'A.

W przekładzie
i z przedmową

Walerego Przyborowskiego



— — — — —
TOM I.
— — — — —

Cena 40 k.

W premii. 30 1/2 k.

WARSZAWA.

Redakcyja i Administracyja:

47. Nowy-Swiat 47.

—
1899.

PAMIĘTNIKI
Sierzanta Bourgogne'a

o wyprawie do Rosyi

w r. 1812.

W przekładzie i z przedmową

Walerego Przyborowskiego.

Tom I.

WARSZAWA.

DRUKARNIA

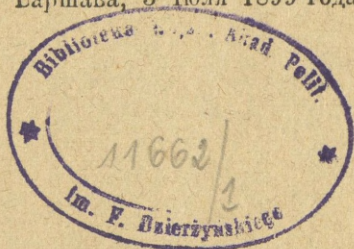
Granowskiego i Sikorskiego.

47. Nowy-Świat 47.

92 ; 840-3 ; 8(355)

Дозволено Цензурою.

Варшава, 3 Юля 1899 года.



PRZEDMOWA.

Pamiętniki, które dajemy w przekładzie polskim ukazały się w osobnej książce po raz pierwszy przed kilku miesiącami w Paryżu i zyskując sobie wielką poczytność, wywarły niezwykle wrażenie. Autor ich, Adryan Jan Chrzyciel Franciszek Bourgogne, pochodzący z drobnej mieszczańsko-kupieckiej rodziny, służył w gwardyi Napoleońskiej, w oddziale, który nosił nazwę *corps des vélites* (vertare, w rzymskim pierwotnie), a którybyśmy nazwali po dzisiejszemu kompanią tyralierską. Uzbrojeni lekko, na polu bitwy rozpoczynali walkę pojedynczo i w rozproszeniu, wychodzili na harce, według starego wyrażenia polskiego. Bourgogne, odbywszy kampanię pruską 1807 r., od r. 1809 walczył w Austryi, Hiszpanii i Portugalii i w r. 1812 znalazł się w Wilnie, gdzie Napoleon skoncentrował swe gwardye, wyruszając na wyprawę rosyjską. Bourgogne mianowany wtedy został sierżantem

Pamiętniki jego obejmują właśnie epokę tej wiekopomnej i jedynej w swoim rodzaju wyprawy, przypominającej średniowieczne wędrówki ludów. Nie jest to historia, ale opowiadanie o niesłychanych cierpieniach, jakich doznała armia francuska w pamiętnym odwrocie z Moskwy. Śmiało rzec można, że dotąd, to jest do czasu pojawienia się pamiętników Bourgogna, nie mieliśmy wyobrażenia o wszystkich okropnościach i grozie straszliwej tego odwrotu. Poważna historia nie zajmowała się jego szczegółami, jego rodzajowym, że tak powiem, malunkiem, zaznaczała tylko, że niezwykajne mrozy, brak żywności, rozsprzęgły wielką armię napoleońską, narażyły ją na mnóstwo cierpień i strat, ale szczegółów nie podawała, bo to do niej nie należało. Tradycja, która i u nas, w Polsce, istniała do niedawna o tym odwrocie, wypełniała tę lukę wprawdzie, ale w formach niejasnych, mętnych, oderwanych i zacierając się powoli, nie dawała dokładnego obrazu cierpień, na które wystawioną była w ciągu paru miesięcy cofająca się armia francuska.

Pierwszy dopiero Bourgogne, nie zajmując się historią, nie mając do tego żadnej pretensyi, barwnym tokiem opowiadania, stylem pełnym prostoty, który budzi ufność i nie pozwala wątpić o prawdzie, daje nam istotne wyobrażenie całej grozy tego odwrotu. Bourgogne nie interesuje się wcale ruchami

wielkiej armii, opisem bitew, ale natomiast szkicuje nam własne wrażenia i doznane cierpienia tak straszne, że czytelnika mimowoli dreszcz przejmuje. Nie-wyczerpane to źródło dla artysty malarza i dla powieściopisarza. Najbujniejsza, najlotniejsza wyobraźnia nie jest w stanie wytworzyć takich scen i takich obrazów, jakie tu rzeczywistość krwawym pędzlem namalowała. Ponure tło całej opowieści, nieskończone przestrzenie śnieżnych płaszczyzn, na których akcja się rozwija, głód, mróz, zawieje, wreszcie strona psychologiczna tych setek tysięcy ludzi, dążących do ojczyzny, myślących jedynie o ocaleniu siebie, rwących wszelkie węzły karności, solidarności wojskowej, braterstwa i ludzkości, będzie zawsze przedmiotem, pociągającym ku sobie nie tylko dusze artystyczne, ale umysły głębsze i badawcze. „Pamiętniki Bourgogna” dają po temu obfity i z pierwszej, że tak powiemy, ręki, materiał. Myśliciel i psycholog znajdzie tu obok faktów zupełnego zdziczenia i obojętności na cierpienia bliźnich, czyny tak wzniosłego poświęcenia i miłosierdzia, że one wszystkie ciemne strony tego odwrotu okupują i nie pozwalają wątpić o człowieku, jako istocie wyższej i lepszej.

Oryginał francuski tych pamiętników, drukowany poprzednio tu i owdzie w pojedynczych ustępach, wydany został w całości z własnoręcznego rękopisu autora, znajdującego się w bibliotece w Valenciennes,

przez Pawła Cottin, redaktora czasopisma *Nouvelle Revue rétrospective*, i p. Maurycyego Hënaulta, archiwistę miejskiego w Valenciennes. Przekład dokonany został z edycji trzeciej.

Walery Przyborski.

I.

Od Almeidy do Moskwy.

Było to w marcu 1812 r., gdy znajdując się w Almeidzie w Portugalii i bijąc się z armią angielską, dowodzoną przez Wellingtona, otrzymaliśmy rozkaz maszerowania do Rosyi.

Przeszliśmy Hiszpanię, gdzie codzień musieliśmy się bić, a czasem i dwa razy na dzień. W ten sposób przybyliśmy do Bajonny, pierwszego miasta francuskiego.

Do Paryża, gdzie spodziewaliśmy się odpocząć, przyjechaliśmy pocztą. Ale już w czterdzieści ośm godzin cesarz odbył przegląd naszego korpusu i sądząc zapewne, iż spoczynek jest czemś niegodnem nas, kazał nam zrobić półobrót i pomaszerować plutonami wzdłuż bulwarów, potem skrócić na lewo na ulicę św. Marcina, przejść La Villette, gdzie spotkaliśmy kilkaset wozów i bryczek, które na nas czekały. Tu kazano nam zatrzymać się, usiąść na swe wozy i wio! aż do Maux, następnie na podwodach aż do Renu, dzień i noc, bez zatrzymania się.

Zrobiliśmy dniówkę w Moguncyi, poczem przeszliśmy Ren; następnie ruszyliśmy piechotą przez Frankfurt, Frankonię, Saksonię, Prusy, Polskę. Przeszliśmy Wisłę w Marienwerder i d. 25 czerwca, przy ślicznej pogodzie, a nie w czasie burzy, jak to opowiada p. de Ségur, przeprawiliśmy się przez Niemen na licznych mostach łyżwowych i wkroczyliśmy do Litwy, pierwszej prowincyi rosyjskiej.

Nazajutrz opuściliśmy pierwsze nasze stanowisko i maszerowaliśmy aż do d. 29 i przez ten czas nic godnego uwagi się nie przytrafiło; ale w nocy z d. 20 na 30 dał się słyszeć głuchy huk; były to grzmoty, jakie szalony wicher na nas napędził. Masy chmur zgromadziły się nad naszymi głowami i trzęsły sercem. Grzmoty i wicher trwał przeszło dwie godziny. W kilka chwil ogniska nasze zostały zgaszone; namioty porwane, kozły z bronią wywrócone. Zgubiliśmy się zupełnie i nie wiedzieliśmy, dokąd iść. Pobiegłem szukać schronienia w jakiejś wsi, w której pomieścił się sztab; kierowałem się światłem błyskawic. Wtem przy świetle błyskawicy zdawało mi się, że spostrzegłem drogę, lecz był to kanał, prowadzący do młyna, napelniony wskutek deszczów tak, że woda dosięgała brzegów. Zdawało mi się, że idę po twardym gruncie, ale naraz zapadłem się i zanurzyłem pod wodę. Wydobywszy się na powierzchnię, dosięgnąłem wpław przeciwnego brzegu. Nakoniec dostałem się do wsi. Tu wszedłem do pierwszego domu. W pierwszym pokoju znajdowało się dwudziestu śpiących ludzi, oficerów i służących. Po wielu trudach, zdobywszy sobie ławkę kolo ogromnego ciepłego pieca, rozebrałem się

wyżąłem z wody koszulę i ubranie i położyłem się na lawce, czekając, by wszystko wyschło. Nazajutrz, uporządkowawszy ubranie, wyruszyłem z domu, by poszukać mej broni i worka; szczęściem znalazłem je w błocie.

Nazajutrz d. 30-go była piękna pogoda i słońce wysuszyło drogę. Tegoż samego dnia dostaliśmy się do Wilna, stolicy Litwy, gdzie cesarz przybył jeszcze w wigilię dnia tego z częścią gwardyi.

Z Wilna wyruszyliśmy o godzinie 10-tej wieczorem, maszerując ku Borysowowi, a d. 27 przybyliśmy do Witebska, gdzie spotkaliśmy się z Rosyanami. Ustawiliśmy się na wzgórzu, dominującym nad miastem i jego okolicami. Nieprzyjaciel zajął pozycję na wzgórzach z prawej i lewej strony miasta. Kawalerya, dowodzona przez króla Murat'a, kilkakrotnie już nacierała. Gdyśmy nadeszli, spostrzegliśmy 200 wołyżerów z 9 go pułku, samych paryżan, walczących z kawaleryą rosyjską, która ich otoczyła dookoła.

Uważaliśmy ich za straconych, gdyż nie było możliwości podania im pomocy, a to z powodu wąwozów i rzeki, dzielącej nas od nich. Lecz dowodzili nimi dzielni oficerowie, którzy przysięgli sobie razem z żołnierzami, że raczej polegną, a shańbić się nie dadzą. Wśród walki zdołali dostać się na pozycję dogodniejszą i tu sformowali czworobok w postawie okazującej, że nie lękają się wcale przemocy nieprzyjacielskiej. Otoczeni byli przez pułk ułanów i innej jazdy, która usiłowała ich rozbić, czego jednak dokonać nie mogła. Skończyło się na tem, że około wołyżerów utworzył się wał z ludzi

i koni, zabitych i ranionych. Była to dla Rosyan nowa przeszkoda, tak, że cofnęli się w zupełnym nieładzie przy okrzykach radosnych całej armii, przypatrującej się walce.

Nasi zwycięzcy zawrócili spokojnie, zatrzymując się chwilami i formując front do nieprzyjaciela. Cesarz nagroził zaraz najdzielniejszych krzyżem Legii Honorowej. Rosyanie ze wzgórza przeciwnego naszemu patrzyli także na całą tę walkę i na ucieczkę swej jazdy.

Po tej potyczce stanęliśmy biwakiem. Tu odwiedziło mnie dwunastu młodych żołnierzy z mych stron, z Condé; dziesięciu z nich było trębaczami, jeden doboszem, a dwunasty kapralem wołtyżerów; wszyscy z jednego pułku, ze szpadami u boku, oznaką, że każdy z nich był fechmistrzem wojskowym, prawdziwym mistrzem w robieniu bronią. Ucieszyłem się z ich odwiedzin, ale oświadczyłem im z żalem, że nie mam ich czem przyjąć. Na to dobosz tak mi odpowiedział:

— Mój rodaku, wcaleśmy tu po to nie przyszli, przeciwnie, chcieliśmy cię zabrać z sobą, by się podzielić z tobą winem, wódką i innymi napojami, które zdobyliśmy wczoraj na jakimś rosyjskim generale i umieściliśmy na wózku Florencyi, naszej markietanki, pięknej hiszpanki, podobno mej żony, a to dlatego, że jest pod mą opieką.

Mówiąc to, uderzył kilkakrotnie po swym długim rapirze.

— Zresztą, jest to dzielna kobieta — ciągnął dalej — spytaj się mych przyjaciół, nikt jej nic nie śmiałyby zarzucić. Przez jakiś czas kochała się w sierzancie, za którego

miała nawet wyjść, ale zabił go jakiś Hiszpan z miasta Bilbao. Dopóki sobie nie obierze kogo innego. muszę się nią opiekować. A więc, mój przyjacielu, idziesz z nami, weź jeszcze z sobą kogo ze swych przyjaciół, bo gdzie dość jest dla trzech, tam i czwarty pożywić się może. Chodźmy. Naprzód, marsz!

Udaliśmy się więc w drogę ku straży przedniej.

Przybyliśmy do obozu Kondejczyków we czterech: dwóch dragonów, Melet, który pochodził z Condé i Flament z Péruwels, następnie Grangier, podoficer tegoż pułku, co i ja. Umieściliśmy się zaraz obok wozu markietanki, rzeczywiście ładnej Hiszpanki. Przyjęła ona nas z wielką radością, bośmy wracali z Hiszpanii i mówili wcale dobrze jej językiem, szczególnie dragon Flament. Dzięki temu, noc przeszła nam na picciu wina generała rosyjskiego i na rozmowie o kraju.

Z nastaniem dnia wystrzał armatni przerwał naszą rozmowę. Każdy powrócił do siebie z gorącym życzeniem, byśmy się jeszcze raz spotkać mogli. Biedni chłopcy, nie myśleli zapewne, że w kilka dni potem jedenastu z nich żyć przestanie.

Było to d. 28-go. Oczekiwaliśmy bitwy, ale armia rosyjska cofnęła się i tegoż samego dnia wkroczyliśmy do Witebska, w którym przebywaliśmy przez dwa tygodnie. Nasz pułk zajął jedno z przedmieść.

Mnie pomieszczono u jakiegoś żyda, mającego piękną żonę i dwie córki okazałej postawy. Znalazłem u niego mały kociołek do warzenia piwa, owies i ręczny młynek. Brakowało tylko chmielu. Dałem więc żydowi 12 franków, by mi go dostarczył,

a dla pewności, ażeby powrócił, zatrzymaliśmy piękną Rachelę, żonę jego i dwie córki. Po 24 godzinach żyd Jakób powrócił, przynosząc z sobą tak pożądaną przez nas chmiel. Jeden z naszych towarzyszków, Flamandczyk rodem, a z zawodu piwowar, zrobił nam pięć antałów doskonałego piwa.

Kiedy wyruszyliśmy z Witebska w d. 13 sierpnia, zostały nam się jeszcze dwa antały, które umieszczone były na wozie matki Dubois, naszej markietanki. Ta była na tyle dowcipną, że pozostawszy w tyle, sprzedała je na swój rachunek tym, którzy maszerowali za nami, a tymczasem myśmy umierali z pragnienia, bo upał był dokuczliwy.

W dniu 16-tym, wczesnym rankiem stanęliśmy pod Smoleńskiem, w którym nieprzyjaciel się zamknął. Zajęliśmy pozycję na Świętem Polu, nazwanem tak przez krajowców. Smoleńsk otoczony jest grubemi i silnemi muremi, ze starymi wysokimi basztami, u stóp których płynie Dniepr. Przystąpiono zaraz do oblężenia i robienia wyłomów w murze, lecz jakież było nasze zdziwienie, gdy w d. 17-tym, chcąc wziąć miasto szturmem, znaleziono je opuszczonem. Rosyane cofnęli się, zniszczyli most i z drugiej strony ze wzgórza, górującego nad miastem, zarzucili nas kulami i kartaczami.

W czasie oblężenia zajmowałem z jednym z przyjaciół stanowisko przy forpocztach, gdzie stała bateria oblężnicza, strzelająca do miasta. Pozycję tę zajmował korpus marszałka Davoust. Poznawszy w nas gwardzistów, marszałek podszedł ku nam z pytaniem, czy nie wiemy, gdzie znajduje się gwardya cesarska. Następnie zaczął sam celować z je-

dnej armaty, skierowanej wprost na wieżę, stojącą przed nami. W kilka chwil potem, doniesiono mu, że Rosyanie wychodzą z miasta i idą wprost na nas. Marszałek na tę wiadomość rozkazał batalionowi lekkiej piechoty wyruszyć przeciw nim, mówiąc do dowódcy:

— Należy nieprzyjaciela odeprzeć.

Przypominam sobie, że jeden ze starych oficerów tegoż batalionu, idąc do bitwy, śpiewał pieśni Rolanda:

„Ilu ich jest? Ilu ich jest?
To okrzyk żołnierzy bez chwały“.

W pięć minut potem uderzyli bagnetami na szeregi rosyjskie i wparli je z powrotem do miasta.

W czasie pobytu naszego pod murami Smoleńska zwiedziłem katedrę, napelnioną mieszkańcami, szukającymi schronienia po zburzeniu domów. W d. 21, opuściwszy nasze stanowisko, maszerowaliśmy przez płaszczyznę Walutino, gdzie przed dwoma dniami odbyła się potyczka i gdzie poległ mężny generał Gudin.

Maszerując bardzo forsownie, dotarliśmy do Dorohobuża, z kąd wyruszyliśmy d. 24, ścigając nieprzyjaciela aż do Wiaźmy, którą zastaliśmy całą w ogniu. Znaleźliśmy tu trochę wódki i żywności. W dniu 1-ym września wkroczyliśmy do Gżacka, gdzie zatrzymaliśmy się czas jakiś. W Gżacku cesarz odbył przegląd broni i armat, aby wszystko gotowem było w chwili walnej bitwy. Dnia 4 wyruszyliśmy dalej, a d. 5 nastąpiło spotkanie z armią rosyjską. Pułk 6-ty odebrał jej pierwsze reduty.

Następnego dnia szykowano się do bitwy; jedni

oglądali broń, drudzy swą bieliznę na wypadek rany, inni spisywali swą ostatnią wolę, a jeszcze inni, lekomyślni, śpiewali lub spali. Cała gwardya cesarska stała w pogotowiu.

Nazajutrz rano wszyscy chwycili za broń i uszykowali się w kolumny batalionowe. Cesarz przebiegł wzdłuż całej linii; od godziny 6-ej rano był już na koniu.

O godz. 7-ej rozpoczęła się bitwa. Opisanie szczegółowe walki jest dziś dla mnie niemożliwem, lecz wspomnę tylko o tem, że cała armia z radością usłyszała szcęk broni i szła do walki z nadzieją zwycięstwa. W wigilię dnia tego padał deszcz drobny i zimny, lecz sam dzień bitwy był prześliczny.

Bitwa ta, jak i wszystkie wielkie nasze bitwy, odznaczała się silnym ogniem armatnim, mówią, że 200,000 wystrzałów było danych dnia tego. Straty rosyjskie było znaczne, stracili około 50,000 ludzi, w co wliczono i rannych; straty nasze były mniejsze, ale dosięgały 17,000, w tej liczbie siedmiu generałów, a mianowicie: Montbrun, Huard, Caulaincourt (brat wielkiego koniuszego), Compère, Maison, Plauzonne, Lepel i Auabert. Ten ostatni, będąc pułkownikiem strzelców gwardyi, mianowany został generałem w czasie bitwy, gdyż po stracie generała, cesarz natychmiast mianował nowego. Przypominam sobie tę chwilę doskonale, gdyż znajdowałem się o cztery kroki od cesarza, który odezwał się w te słowa:

— Pułkowniku, mianuję cię generałem, stań na czele dywizyi i zdobądź wielką redutę.

Generał odjechał zaraz ze swym adjutantem.

W kwadrans potem adjutant wrócił z wiadomością, że szaniec zdobyty, ale generał przyplacił zwycięstwo raną. Umarł w tydzień potem.

Upewniano nas, że Rosyanie stracili 50 generałów, tak zabitych, jak rannych.

W czasie bitwy, stanowiliśmy rezerwę po za korpusem generała Friant'a, a kule padały koło nas i cesarzą.

Bitwa skończyła się nad wieczorem. Pozostawaliśmy jeszcze na tej pozycji przez cały dzień następny, w którym zwiedziłem razem z Grangier'em pole walki, obraz smutny i wstrząsający. Doszliśmy aż do wąwozów, obok których król Murat rozbił swe namioty. W chwili, gdyśmy nadeszli, król był obecnym przy amputowaniu nóg dwom kanonierom z gwardyi rosyjskiej.

Po skończonej operacyi Murat dał im po kieliszku wódki, a następnie przechadzać się zaczął nad brzegiem wąwozów, zkąd wczoraj wielu nieprzyjaciół stratował w czasie szarży swej jazdy. Można było podziwiać jego wspaniałą postawę i zimną krew, z jaką wydawał rozkazy. Łatwo go było poznać po okrągłym kapeluszu, białym pióropuszu i płaszczu rozwianym.

Dnia 9 opuściliśmy pole bitwy i doszliśmy do Możajska. Straż tylna Rosyan uszykowała się na wzgórzu naprzeciw miasta, zajętego przez naszych. Kompania wołyżerów i grenadyerów, ogółem 100 ludzi z 33 pułku liniowego, mimo znacznej przewagi nieprzyjaciela, wdzieriała się spokojnie na wzgórze, lecz nie zdążyli jeszcze dotrzeć do niego, gdy zostali otoczeni przez liczne szwadrony kozaków i kirasye-

rów. Nie zważając na to, jakby się tego spodziewali, zwinęli się w czworobok i przyjęli Rosyan ogniem z czterech naraz stron.

Uważać ich można było za straconych wskutek odległości armii od miejsca walki. Jakiś wyższy oficer rosyjski wezwał ich do poddania się, na co odpowiedział mu nasz dowódca ogniem, kładąc go trupem.

Kawalerya rosyjska po stracie dowódcy pierzchła, zostawiając woltażerów panami pola bitwy.

Cały następny dzień ścigaliśmy nieprzyjaciela. Wieczorem postawiono mnie na warcie przy dworze, w którym stanął cesarz. Wybrałem sobie miejsce na jednej z dróg, wiodących do dworu, gdy jakiś sługa — Polak, którego pan należał do sztabu, przeszedł kolo mnie, wiodąc konia ciężko obciążonego. Koń zmęczony upadł i nie chciał więcej powstać. Sługa zdjął z niego ciężar, włożył na swe plecy i poszedł sobie, a żołnierze, stojący na placówce, zabili zaraz konia i jedli go i piekli na zapas.

W chwilę potem zjawił się cesarz w towarzystwie króla Murat'a i audytora. Szli w kierunku wielkiego gościńca. Sprezentowaliśmy broń. Cesarz zatrzymał się, a spostrzegłszy zabitego konia, zapytał, czy to myśmy go jedli, otrzymawszy potwierdzającą odpowiedź, uśmiechnął się i dodał:

— Cierpliwości, za kilka dni staniemy w Moskwie, a tam będziecie mieli wszystkiego wbród, zresztą mięso końskie nie jest znów tak bardzo złe.

Przepowiednia sprawdziła się, bo po czterech dniach wkroczyliśmy do stolicy.

Przez dzień 11-ty i następne maszerowaliśmy

wśród pięknej pogody. Dnia 13-go przenocowaliśmy w jakimś klasztorze, co zwiastowało bliskość stolicy.

W dniu 14-tym, maszerując od samego rana, przebyliśmy wąwozy, gdzie natrafiliśmy na rozpoczęte szańce, następnie do lasu jodłowego i drogą bardzo szeroką dotarliśmy do Moskwy.

W tym dniu byłem w przedniej straży. Po godzinnym marszu cesarska kolumna zatrzymała się. Wśród odpoczywających spostrzegłem jednego z Kondejczyków, z którymi ucztowaliśmy w Witebsku, z obandażowaną lewą ręką. Poznał i on mnie. Zbliżyłem się więc do niego, zapytując, jak się miewają jego towarzysze.

— O bardzo dobrze — odrzekł, wskazując na ziemię.—Wszyscy polegli na polu chwały, gdzie ich pogrzebano. O, mój sierżancie! walki tej póki życia nie zapomnę. Jakaż to była rzeź!

— A tobie, co jest?—spytałem go.

— Eh! nic, kula weszła mi pod łopatkę. Spocznijmy chwilę i porozmawiajmy o naszych biednych towarzyszach i o młodej Hiszpance, markientance naszego pułku.

Otóż co mi opowiedział:

Już od godziny 7-ej rano trwała walka, gdy dowodzący nami generał Campans został raniony. Dwóch jego następców uległo temu samemu losowi. Prysłano nam wtedy generała Auabert'a, gwardzistę, który rozkazał zaraz natrzeć na nieprzyjaciela. Rozkaz ten był przyczyną zguby całego naszego 61-go pułku. Generał wyszedł z tego natarcia rannym, ale

reduta była wzięta. Otóż w czasie tej walki i mnie trafiła kula, o czym nawet nie wiedziałem.

Lecz po chwili dotkliwy ból zmusił mnie do wycofania się z szeregów. Chciałem się więc dostać do ambulatoryum, ale na drodze spotkałem naszą Hiszpankę zapłakaną. Szukała ona rannych doboszów naszego pułku, chcąc im przyjść z pomocą. Pomiędzy rany, sprawiającej mi ból szalony, zdecydowałem się towarzyszyć jej. Posuwaliśmy się powoli wśród zabitych i rannych, a był to widok przejmujący.

Przybywszy na miejsce, gdzie walczył nasz pułk, markietanka na widok pola zasłanego trupami i rannymi rozpaczając zaczęła, a rozpacz jej przeszła prawie w obłąd, gdy ujrzała rozbitą bęben dobosza.

— Tu, przyjacielu, tu! — krzyknęła — tu oni są! —

Rzeczywiście, znajdowali się tu wszyscy, z członkami porozrywaniemi przez kartacze, a żaden z nich nie słyszał okrzyków rozpaczki biednej kobiety. Wśród nich leżał dobosz, uważany przez nią za ojca.

Ujrawszy go, uklękła przy nim i uniosła głowę, starała się wlać mu w usta kilka kropli wody. W tej chwili rozpoczęła się na nowo nieprzyjacielska kanonada. Kula armatnia odcięła Hiszpance lewą rękę, poczem ugrzęzła w ciele umierającego. Bezprzytomną chciałem unieść z pola bitwy, ale z jedną tylko ręką, nie miałem dostatecznej siły. Na nasze wspólne szczęście, jeden z kirasyerów przyszedł mi z pomocą, wołając o pośpiech, bo kule latały tuż koło nas. Po dziesięciu minutach doszli-

śmy do małego lasku, gdzie stało ambulatoryum artyleryi gwardyi.

Chirurg cesarski, M. Larrey, zajął się wracającą do przytomności Hiszpanką, poczem opatrzył mi ranę. Teraz też czuję się dosyć dobrze.

Na tem zakończył swe opowiadanie Dumont, kapral wołyżerów 61-go pułku. Żegnając się, prosiłem go o odwiedzenie mnie w Moskwie w razie, gdyby nasz pobyt miał się tam przedłużyć; lecz już go nigdy w życiu nie widziałem, ani też nic nie slyszalem o nim.

W taki to sposób straciło życie dwunastu mych współpowietników w pamiętnej bitwie pod Moskwą, w dniu 7-ym września 1812 r.

II.

Pożar Moskwy.

O godzinie 1-ej po południu, przeszedłszy duży las, spostrzegliśmy w dali, o pół godziny drogi jakąś wyniosłość. W przednich strażach rozległ się okrzyk: „Moskwa! Moskwa!“ Rzeczywiście była to owa wielka stolica, w której czekał nas spoczynek po tylu trudach. Należał się on zwłaszcza nam, gwardzistom cesarskim, bo odbyliśmy przeszło 12,000 mil bez chwili wytchnienia.

Był to piękny dzień letni; słońce odbijało się w kopułach i dzwonnicach złożonych. Żadna ze stolic dotąd widzianych nie wywarła na mnie tak silnego wrażenia. Znałem przecież Paryż, Berlin, Warszawę, Wiedeń i Madryt. Wywarły na mnie wrażenie dość pospolite, podczas gdy Moskwa wywarła mi się czemś nadprzyrodzonym. Nietylko ja jeden to czułem.

W tej uroczystej chwili wszystko: bóle, strapienia, zmęczenie i niedostatek zapomniane zostało. Zastąpiła je myśl radosna. Wkraczaliśmy do Mo-

skwy, gdzie czekało nas wygodne leże zimowe i zwycięstwa na innem polu, niż pole bitwy. Jest to rys charakterystyczny francuskiego wojaka: z walki ku miłości, a z miłości do walki.

Chwila podziwiania stolicy przerwana została rozkazem ruszenia w zwartym szeregu.

W dniu tym szedłem w straży przedniej, pilnującej kilku oficerów, wziętych do niewoli w czasie bitwy pod Moskwą. Pomiedzy nimi znajdował się także duchowny, który miał wygląd przybity i zmęczony. Zauważyłem, że w chwili, gdyśmy spuścili się w dolinę, wszyscy jeńcy przeżegnali się nabożnie. Ponieważ wiedziałem, że kilku z nich zna język francuski, spytałem się o przyczynę tej pobożności:

— Panie—odpowiedział mi duchowny—górze, na której byliśmy, zwie się Górą Zbawienia i każdy prawowierny Rosyanin na widok świętego miejsca powinien się przeżegnać.

Po dobrym kwadransie drogi stanęliśmy u wrót Moskwy. Cesarz już się tu znajdował ze sztabem. W chwili, gdyśmy zatrzymali się pod murami, zauważyłem, że na prawo i lewo rozciąga się olbrzymi cmentarz. Marszałek Duroc zjawił się przed cesarzem z kilku mieszkańcami, mówiącymi po francusku, donosząc mu, że Kremlin zajęty jest przez jakąś bandę, składającą się po większej części ze złoczyńców, którzy uderzyli na korpus Murat'a, tworzący awangardę. Pomimo kilkakrotnych nawoływań, nie chcą bram otworzyć.

— Wszyscy są pijani — dodał marszałek — nie wiedzą więc sami, co mówią.

— Otworzyć wrota kartaczami — rozkazał cesarz—żywa dusza nie powinna się tam zostać.

Rozkaz został spełniony i cała ta zbieranina po dwukrotnym strzale rozpierzchła się na wszystkie strony. Król Murat gonił ich jeszcze czas jakiś, naciskając coraz bardziej tylną straż rosyjską.

Rozległy się sygnały, i w kolumnach plutonowych wkroczyliśmy do miasta, z muzyką na czele. Straż przednia składała się z trzydziestu ludzi, dowodził nią pan Serraris, porucznik naszego pułku.

Na przedmieściach spotkaliśmy wypędzonych z Kremlina żołnierzy o twarzach zwierzęcych, uzbrojonych w piki, strzelby i widły. Zaledwie przeszliśmy most, oddzielający miasto od przedmieścia, gdy jakieś indywiduum zaczęło się zbliżać ku nam, ubrane w kozuch, przepasany rzemieniem, z długą siwą brodą, sięgającą pasa. Uzbrojony był w widły o trzech zębach, podobne do tych, z jakimi wyobrażają Neptuna. Szedł dumnie wprost na dobosza, biorąc go zapewne za generała. Zamierzył się na niego silnie, lecz ten szczęśliwie uniknął ciosu, a wyrwawszy mu z rąk morderczą broń, schwycił za ramiona, rzucił do wody, gdzie zanurzywszy się kilkakrotnie, poszedł na dno.

Za tym nieszczęśliwym zaczęli się zjawiać i inni mieszkańcy, dając do nas ognia, który nic nam nie szkodził, bo zamiast skałek u strzelb, mieli drewniane kawałki. Z tymi załatwiono się prędko, a rozbroiwszy, zmuszano do ucieczki uderzeniem kolby. Część tej broni wzięli oni z arsenału, znajdującego się w Kremlinie, stąd ta broń zamiast skałek miała drzewo, umyślnie kładzione przy reperacyi.

Dowiedzieliśmy się później, że ci nędznicy chcieli zamordować oficera ze sztabu króla Murata.

Po przejściu mostu posuwaliśmy się w głąb miasta po pięknej i szerokiej ulicy. Zdziwienie nasze było wielkie, bo nikt się nie pokazał, aby słuchać muzyki, grającej pieśń: „Zwycięstwo jest przy nas!“ Nie mogliśmy pojąć, czemu przypisać ten brak ruchu, a w swej zarozumiałości mniemaliśmy, że mieszkańcy, bojąc się pokazać, przypatrują się nam z poza zasłon. Gdziekolwiek tylko zauważyć można było służących w liberyi, lub też żołnierzy.

Po godzinnym marszu ujrzelśmy pierwszy obwód murów Kremlina. Lecz tu, zawróceni gwałtownie, dotarliśmy przez jeszcze piękniejszą ulicę do placu rządowego. W czasie tej drogi po raz pierwszy spostrzegłem trzy kobiety, przypatrujące się nam z okien parterowych.

Szedłem wtedy po chodniku tuż pod ich oknami. Jedna z nich pokazała mi kawałek razowego chleba, tak czarnego, jak węgle z resztkami słomy, ja wzamian pokazałem jej nasz biały chleb, który dostałem od matki Dubois. Dama zaczerwieniła się, uśmiechnęła i nie wiem dlaczego, poklepała mnie po ramieniu.

Przybywszy na plac rządowy, stanęliśmy frontem ku pałacowi Rostopczyna, tego samego, który wydał rozkaz spalenia Moskwy. Tu oznajmiono nam, że nie wolno wydać się z pułku, dlatego, że cały nasz oddział stanowić ma placówkę. Pomimo tego rozkazu, niespełna w godzinę cały plac pokryty był wszelkiego rodzaju napojami, owocami, ciastkami, mąką i t. p., brakowało nam tylko chleba. Dostar-

czono to wszystko z sąsiednich, opustoszałych domów.

Zajęliśmy plac i główne wejście do pałacu. W jednym z największych pokoiw pomieściła się cała gwardya i kilku wziętych na mieście do niewoli oficerów rosyjskich.

Pałac gubernatora był bardzo duży, a budowa jego całkiem europejska. Z głębi głównego wejścia prowadziły szerokie i piękne schody na pierwsze piętro, gdzie znajdował się w jednym z głównych pokoiw olbrzymi owalny stół i portret cesarza Aleksandra na koniu w naturalnej wielkości. Po za pałacem było niewielkie podwórze z mieszkaniami dla służby.

W godzinę po naszym przybyciu rozpoczął się pożar. Najpierw ukazał się na prawo od nas wielki dym, następnie płomień i iskry. Dowiedzieliśmy się później, że pierwszy ogień wybuchnął w bazarze. Pierwotnie sądziliśmy, że ogień zaprószyli przez nieostrożność maruderzy armii, szukający po domostwach żywności.

Wiele osób mniema, że pożar Moskwy stał się przyczyną zguby całej naszej armii, ja zaś myślę wręcz przeciwnie. Rosyane nie potrzebowali niszczyć miasta, dostatecznem było spustoszenie okolic, abyśmy żywności dostać nie mogli, co było zbyt trudnem, gdyż Moskwa leży w pustej bardzo okolicy, i ten brak żywności głównie stał się przyczyną, że w dwa tygodnie musieliśmy ją opuścić, choć po pożarze pozostało jeszcze dosyć domów, nawet dla całej armii, a wreszcie gdyby tych nie było, to pozostawały piwnice.

O godzinie 7-ej ogień zajął tyły pałacu gubernatora. Pułkownik rozkazał natychmiast wysłać patrol, złożony z piętnastu ludzi, w liczbie których znajdowałem się i ja. Pan Serraris dowodził nami.

Wyruszyliśmy w kierunku ognia, lecz nie zdążyliśmy ująć trzystu kroków nawet, gdy zaczęły odzywać się strzały. Sądząc, że to strzelali pijani żołnierze armii, nie zwracaliśmy na nie uwagi, ale strzały nie ustawały i widocznem się stawało, że kierowano je wprost na nas. Krzyk, jaki się rozległ tuż koło mnie, przekonał nas, że mamy do czynienia z nieprzyjacielem, który dobrze celował, bo kula trafiła jednego z naszych, raniąc go niezbyt niebezpiecznie, gdyż nie przeszkodziła mu maszerować dalej. Zdecydowaliśmy się jednak po tem, co się stało, wrócić do oddziału, ale ponowne strzały zmieniły nasz zamiar. Dowódca postanowił zbadać, skąd one pochodzą. Zbliżywszy się do jakiegoś domu, chcieliśmy do niego wejść, lecz dziewięciu olbrzymich drabów, uzbrojonych w piki i strzelby, zastąpiło nam drogę. Nas było dziewiętnastu, to też walka rozpoczęta była z nierównymi siłami, lecz bojąc się, aby ich więcej nie było, położyliśmy trzech trupem. Jeden kapral uderzony silnie, lecz nie raniony, schwycił broń swego przeciwnika, chcąc mu ją wyrwać. Lecz ten był silniejszy i przyparł z ogromną mocą naszego kaprała do drzwi jakiejś piwnicy. W chwili tej Rosyanin został przebity dwoma uderzeniami bagnetów. Oficer chciał mu wyrwać pikę z ręki, a gdy jej nie chciał puścić, odebrał mu życie wystrzałem z rewolweru.

Trzech z tych łotrów ratowało się ucieczką,

czterech zaś przyparliśmy do muru tak blisko, że nie mogli użyć broni. Bagnety skierowaliśmy wprost na nich, tak, że za najmniejszym ruchem straciliby życie. Trzeba dodać, że byli pijani i zupełnie nieprzytomni. Spieszyliśmy się bardzo ze zwiedzeniem domu, bo było już późno. W jednym z pokojów znaleźliśmy tych, co nam uciekli. Na nasz widok stracili do tego stopnia przytomność, że porzuciwszy broń, na którą rzuciliśmy się w tejże chwili, ratowali się ucieczką, wyskakując przez okno.

Ponieważ widzieliśmy uciekających tylko dwóch, podczas gdy zostawili trzy strzelby, szukaliśmy więc trzeciego. Schował się on pod łóżko, z kąda wyląwszy, upadł przed nami na kolana i krzychał tylko:

— Boże, Boże!

Nic złego mu nie zrobiliśmy, tylko wzięliśmy go sobie za przewodnika. Postać jego cała była również wstrętną i straszną, jak i jego towarzyszów; ubrany był w kozuch barani, przepasany rzemieniem. Po wyjściu na ulicę, ujrzelśmy tych, co uciekli, leżących na ziemi, jednego z roztrzaskaną głową, a drugiego z połamanymi nogami.

Zostawiliśmy ich jednak w tym stanie, bośmy się bardzo spieszyli z powrotem. Droga nasza zamkniętą była, na lewo i na prawo płomienie tworzyły sklepienie, trzeba by chyba było przechodzić pod niemi, co groziło wielkiem niebezpieczeństwem, bo silny wicher zrywał płonące dachy. Zmuszeni byliśmy szukać innej drogi, na nieszczęście, nie mogąc się rozmówić z naszym więźniem, wyglądającym raczej na niedźwiedzia, niż na człowieka, nie mogliśmy korzystać z jego pomocy.

Przeszedłszy dwieście może kroków, ujrzeliśmy na rogu szerokiej ulicy bardzo ładny dom, który wzbudził w nas ciekawość do tego stopnia, że postanowiliśmy go zwiedzić. Dla bezpieczeństwa jednak nie weszliśmy pierwsi, lecz puściliśmy przodem naszego więźnia. Zaledwie ten odszedł, rozległy się okrzyki trwogi, i ujrzeliśmy jak mnóstwo ludzi z płonącymi pochodniami w rękach uciekać zaczęło. Przeszedłszy sień, znaleźliśmy się na ogromnym podwórzu, w głębi którego ujrzeliśmy wspaniały pałac. Obawiając się, aby nas niespodziewanie nie zaskoczono, gdy zwiedzać będziemy pałac, postawiliśmy dwóch żołnierzy przed bramą na straży i z zapalonymi świecami, których mieliśmy znaczny zapas, weszliśmy do środka. Jak żyję, nie widziałem jeszcze podobnie bogatego i z takim komfortem urządzonego mieszkania. Szczególniej zachwyciła mnie ogromna galerya obrazów szkoły flamandzkiej i włoskiej. Wśród tych bogactw i wspaniałości dziwne wrażenie wywierała skrzynia, napełniona doskonałą bronią, którą potrzaskaliśmy w jednej chwili na drzazgi. Wziąłem sobie parę pistoletów, których kolby były zdobne perłami i drogiemi kamieniami, a także epruwetkę, używaną do oznaczania wybuchowej siły prochu.

Godzina blisko zesła nam na podziwianiu tych wspaniałych apartamentów, gdy nagle przeraźliwy huk, rozlegający się ponad nami, ostrzegł nas o niebezpieczeństwie. Wstrząśnienie było tak gwałtowne, że pewni byliśmy, iż za chwilę zginiemy pod gruzami pałacu. Jak można najszybciej i z jak największą ostrożnością zeszliliśmy na dół, gdzie nie widząc

dwóch naszych towarzyszków, uczuliśmy, jak ogarnia nas trwoga. Szukaliśmy ich dość długo, w końcu znaleźliśmy ich na ulicy, gdzie schronili się w chwili wybuchu, pewni będąc, że zginęliśmy wszyscy. Po przejściu pierwszego strachu poszliśmy zbadać przyczynę wybuchu. W sali jadalnej zapadł się sufit, miażdżąc sobą przepyszne kryształowe lustro. Przyczyną zaś wszystkiego były dwa granaty, umieszczone w kaflowym piecu... Rosyanie używali najrozmaitszych środków na naszą zgubę.

Gdyśmy się tak zastanawiali nad przyczyną wypadku, rozległy się okrzyki naszych wartowników: „gore, gore!” Ogień dostał się już do pałacu, płomienie zjawily się już w wielu miejscach, a dym gęsty, czarny, później czerwony napenił wszystkie pokoje. W kwadrans zapadł się dach z ogromnym loskotem, pochłaniając ten gmach wspaniały.

Po wielu zwrotach dotarliśmy do szerokiej ulicy, gdzie z prawej i lewej strony znajdowały się gmachy i wspaniałe pałace. Ulica ta powinna była doprowadzić nas do miejsca, z któregośmy wyszli, ale kryminalista, który nam przewodniczył, nie mógł nas w niczem objaśnić. O tyle był tylko pożytecznym, że pomagał w niesieniu rannego, który coraz więcej tracił siły. Kilkakrotnie przechodziły koło nas grupy, złożone z mężczyzn o długich brodach i fizyognomiach ponurych, z płonącymi pochodniami w dłoniach, co nadawało im wygląd jeszcze okropniejszy. Nie znając ich zamiarów, pozwoliliśmy im mijać nas spokojnie, dopiero strzelcy gwardyi, których niedaleko spotkaliśmy, zawiadomili nas, że miasto podpalają sami Rosyanie, a ci, którzy koło nas

przechodzili, byli przeznaczeni do wykonania tego polecenia. W chwil kilka potem ujrzelśmy znów trzech takich nędzników, podpalających jakąś cerkiew. Dwóch z nich, ujrzawszy nas uciekło, trzeci nie zważając na nas, starał się zamiar swój doprowadzić do skutku, lecz wzięwszy go na cel, położono go trupem na miejscu.

Wtedy to spotkalśmy się z patrolem strzelców, również zbłąkanym, jak i my; dowodzący nim sierżant opowiadał mi, że natknął się na mnóstwo podpalaczy i że jeden z nich, któremu odciął szabłą prawą rękę, schwycił pochodnię lewą, aby mógł wypełnić swój zamiar. Musieli go zabić.

Trochę dalej usłyszeliśmy krzyk kilku kobiet, wołających o pomoc w języku francuskim. Krzyki te wychodziły z jakiegoś domu. Weszliśmy do niego, sądząc, że to są markietanki naszej armii, schwytane przez Rosyan, lecz omyliliśmy się. W pokoju porozrzucane były ubrania bardzo bogate, najrozmaitszych fasonów, a wpośród nich ujrzelśmy dwie kobiety z rozpuszczonemi włosami i młodego dwunasto- lub piętnastoletniego chłopca. Błagały nas o opiekę przeciw żołnierzom rosyjskim, którzy chcieli podpalić ich mieszkanie, nie pozostawiając im nawet tyle czasu, aby mogły powynosić z domu swojego kostiumy teatralne, wśród których znajdowała się toga Cezara, hełm Brutusa i zbroja Joanny d'Arc, gdyż były to artystki francuskie. Mężowie ich musieli wydalić się razem z Rosyanami. Obrotiliśmy dom ich od pożaru i schwyciliśmy czterech policyantów rosyjskich, których poprowadziliśmy z sobą. Po wielu trudach dotarliśmy wreszcie do na-

szego oddziału o godz. 2 rano, ze strony całkiem przeciwnej od tej, z której wyruszyliśmy.

Pułkownik, dowiedziawszy się o naszym powrocie, niezadowolony z tak długiej naszej nieobecności, domagał się rachunku z czasu, któryśmy przepędzili po za obozem. Lecz ujrzawszy rannego i więźniów, i dowiedziawszy się o naszych przejściach, wyraził nam zadowolenie z naszego powrotu, gdyż był bardzo o nas niespokojny.

Rzuciwszy okiem na plac, na którym biwakował nasz pułk, zdawało mi się, że zebrały się tu wszystkie narody świata, gdyż żołnierze nasi wybierali się w suknie, jakie poznajdowali po domach. Byli więc tam Kałmucy, Chińczycy, Kozacy, Tatarzy, Persowie, Turcy, to znów w przepyszne futra, a nawet i stroje dworskie na modę francuską ze szpadami u boku o przepysznych rękojeściach, błyszczących jak dyamenty. Plac cały zarzucony był wszelkiego rodzaju łakociami, winem, likierami, wódką, lecz mięsa świeżego niewiele, tylko szynki i obrzymie suszone ryby, oraz trochę mąki. Niestety! ani kruszyny chleba.

Tegoż samego dnia pułk nasz opuścił plac gubernatora o godzinie 9-ej rano i udał się w okolice Kremlina, w którym zamieszkał cesarz, a ponieważ nie upłynęło jeszcze 24 godzin mego dyżuru, pozostawiono innie w pałacu gubernatora.

Około godziny 10 rano przyjechał konno jakiś generał, zdaje mi się, że to był generał Pernetty, wiodąc z sobą jakiegoś młodego chłopca w kozuchu, przepasanym wełnianym, czerwonym pasem. Gene-

rał zapytał się mnie, czy to ja jestem dowodzącym strażą, a na potwierdzającą mą odpowiedź, rzekł:

— Dobrze, zaktujesz mi bagnetem tego człowieka, schwyciłem go z pochodnią w rękę, gdy podpalał pałac, w którym ja stoję.

Natychmiast poleciłem czterem ludziom wypełnić rozkaz generała, ale żołnierz francuski nie jest przyzwyczajonym do wypełniania podobnych wyroków, to też kilkakrotnie uderzano go bagnetem, ale bez żadnego skutku. Gdyby nie obecność generała, darowałibyśmy mu życie, przemawiała za tem jego młodość i mina wcale nie zbrodnicza, ale generał nie ustąpił póty, póki jeden z nas wystrzął z pistoletu nie skrócił cierpień biedaka. Zwłoki jego zostały na placu.

W jakiś czas potem zjawił się jakiś człowiek, mieszkaniec Moskwy, lecz rodem Francuz i paryżanin, blagając nas o pomoc, bo chcą mu dom podpalić. Dałem mu czterech ludzi, lecz ci wrócili wkrótce, donosząc, że przybyli za późno, bo zastali dom w płomieniach.

W kilka godzin znów po owej wstrętnej egzekucyi doniesiono mi, że jakaś kobieta, przechodząc przez plac, rzuciła się z rozpaczą na zwłoki nieszczęśliwego młodzieńca. Poszedłem ją zobaczyć. Siedziała na ziemi, trzymając głowę zmarłego na kolanach, całując i oblewając ją łzami. Poruszony do głębi tą sceną, kazałem jej wejść do domu i dałem jej kieliszek wódki, którą wypila z chciwością, dałem jej więc jeszcze raz, aż w końcu upiła się i oznajmiła, że zostanie z nami do chwili, w której, podług

wierzeń ludu rosyjskiego, zmarły powinien ożyć. Wkrótce usnęła na kanapie.

O piątej godzinie wróciła kompania. Przeznaczono mnie znów na wartę na 24 godziny. Reszta pułku zajęta była gaszeniem ognia koło Kremlinu, a gdy go stłumiono na chwilę, wybuchał znów z większą jeszcze siłą.

Porosyłańo patrole w rozmaitych kierunkach. Jeden z nich wrócił wkrótce, donosząc, że w chwili, gdy dochodzili do płonącej łaźni, zabudowania runęły z przeraźliwym hukiem, a iskry, pędzone wschodnim wiatrem, przenosiły ogień na sąsiednie miejscowości.

Przez cały wieczór i część nocy powracające patrole przyprowadzały z sobą żołnierzy rosyjskich, których znajdowano we wszystkich dzielnicach miasta, bo w domach, które oni zajmowali, zwykle ogień powstawał. Pomiedzy nimi przyprowadzono i dwóch oficerów, jednego z armii, drugiego z policji. Pierwszy bez najmniejszego oporu oddał nam swą szpadę, prosząc tylko, aby mu zostawiono medal złoty, drugi zaś, człowiek młody, mówiący dobrze po francusku, rzucał się gwałtownie, dowodząc, że ponieważ należy do milicyi, to nie ma racji oddawania szpady. Nie zważając na jego rozumowanie, odebraliśmy mu broń.

O północy ogień wybuchnął w pobliżu Kremlinu. Wszelkimi siłami starano się go stłumić, lecz już o godzinie 6-tej szalał z niczem niepowstrzymaną siłą.

Podczas nocy z dnia 15 na 16 wzięta mnie wielka ochota razem z dwoma moimi przyjaciółmi

wyść na miasto i zwiedzić Kremlin, o którym takie dziwy opowiadano. Udaliśmy się więc w drogę. Widno było jak w najpogodniejszy dzień, ponieważ jednak zamierzaliśmy zwiedzać napotkane domy, zabraliśmy z sobą świece.

Moi towarzysze znali już trochę drogę, ale ulice były tak pozmieniane szczątkami walących się domów, że wkrótce zabłądziliśmy. Idąc jakiś czas bez określonego kierunku, o ile nam ogień pozwalał, natrafiliśmy bardzo szczęśliwie na jakiegoś żyda, rwącego włosy z rozpaczony nad płonąca synagoga. Żyd na nasze zapytanie odpowiedział po niemiecku, że wielu jego współwyznawców schowało w synagodze to, co mieli najdroższego, a teraz wszystko to pochłania ogień. Uradowani z tego spotkania, wzięwszy żyda za kark, rozkazaliśmy się prowadzić do Kremlinu, pocieszając go po drodze.

Nie mogę się powstrzymać od śmiechu, gdy sobie wspomnę, że żyd w tak krytycznym położeniu zapytał się nas, czy nie mamy czasem czego do sprzedania lub zamiany. Myślę, że tylko przez przyzwyczajenie zaproponował nam to, boć przecież w podobnej chwili wszelki handel byłby niemożliwym.

Po przejściu kilku, po większej części płonących ulic, niekiedy bardzo ładnych, weszliśmy na niewielki plac, niedaleko rzeki, z którego doskonale widać było kopuły Kremlinu, oświetlone blaskiem pożaru. Zatrzymawszy się na chwilę, weszliśmy do jakiegoś sklepu, gdzie znaleźliśmy mnóstwo smażonych owoców, wino i cukier. Zabraliśmy to

z sobą, a żyd nam niósł wszystko. Już za dnia dostaliśmy się do pierwszych zabudowań Kremlinu przez dużą bramę, zbudowaną z granitu, obok której znajduje się dzwonnica, z dzwonem odlanym na cześć św. Mikołaja, którego figura umieszczona jest w niszy, tuż za bramą. Figura ta, wysoka przynajmniej na sześć stóp, czczona jest przez każdego Rosyanina, nawet przez złoczyńców, gdyż święty, którego wyobraża, jest patronem Rosyi.

Skierowaliśmy się na prawo i dość szeroka, lecz tak strasznie zawalona szczątkami spalonych domów ulicą, że z trudem zdołaliśmy ją przejść, dotarliśmy do wielkiego muru, otaczającego główną wieżę, na której w równych odstępach umieszczone były olbrzymie złożone orły. Przeszedłszy główne wrota, znaleźliśmy się na placu nawprost pałacu, w którym cesarz przebywał dopiero od wczoraj, bo noc z 14 na 15 przepędził na jednym z przedmieść.

Na warcie koło pałacu stali nasi znajomi strzelcy z 1-go pułku. Ujrzawszy nas, zaprosili wszystkich na śniadanie, składające się z doskonałego świeżego mięsa, którego już bardzo dawno nie jedliśmy, i również dobrego wina. Żyd musiał zjeść spory kawał szynki. Strzelcy zaproponowali żydowi sprzedaż srebrnych sztab, zabranych z mennicy, na co ten zgodził się chętnie.

Blisko do południa ucztowaliśmy przy stole, wspartym na olbrzymich armatach u drzwi arsenału, wprost pałacu. Uczta nasza przerwana została okrzykiem: „Do bronii!“ Ogień dostał się już do Kremlinu. Płonące iskry wpadały na podwórze, gdzie stała artylerya gwardyi z jaszczykami, napełnionymi

prochem, a obok nich znajdował się stos najrozmaitszych śmieci, przygotowanych zawczasu przez Rosyan, który zaczął się już palić. Obawa eksplozyi wywołała straszny popłoch, zwiększony jeszcze uporem cesarza, którego prawie gwałtem zmuszono do opuszczenia Kremlina.

Pożegnawszy się z przyjaciółmi, ruszyliśmy z powrotem do pułku. Przewodnik nasz chciał nas prowadzić jakąś krótszą drogą, lecz wstrzymani zostaliśmy przez płomień, ogarniające wszystkie zabudowania, do tego jeszcze zerwał się szalony wicher i rzucał nam pod nogi płonące szczątki, co zmusiło nas do schronienia się do jakichś suterren, gdzie się już wielu znajdowało. Gdy się pożar trochę zmniejszył, wyszliśmy i natknęliśmy się na oddział gwardyi, spieszącej zająć stanowisko w koło pałacu Peterskoje, do którego schronił się cesarz. W Kremlinie pozostał jeden batalion z 2-go pułku strzelców, który sprawił się tak dobrze, że cesarz już w dniu 18 mógł wrócić do Kremlinu. Zapomniałem dodać, że ksiązę Neufchâtel, chcąc przekonać się o rozmiarach pożaru, wszedł na jedną z wież Kremlinu, lecz musiał zaraz się cofnąć w obawie, aby go szalony wicher nie porwał.

Pomimo, że ogień i wicher nie ustawały, ruszyliśmy tem przejściem, przez które wy dostał się cesarz. Dostawszy się nad brzeg rzeki Moskwy, posuwaliśmy się jej brzegiem dopóty, dopóki nie dotarliśmy do jakiejś swobodniejszej od ognia ulicy. Znaleźliśmy się w nieznaney nam zupełnie dzielnicy miasta, obróconey w popiół i gruz, tak, że nawet żyd z wielkim trudem ją rozpoznał.

Wiatr przynosił z sobą gorący popiół, obsypując nas nim i zasypując oczy, że z trudem mogliśmy patrzeć. Nogi parzyliśmy sobie o tlejące dachy i gorący popiół, którymi pokryte były ulice.

Doszliśmy w ten sposób do dzielnicy żydowskiej, również strasznie zniszczonej. Żyd, ujrawszy to okropne spustoszenie, z rozzwierającym okrzykiem padł na ziemię bezprzytomny. Oswobodziwszy go od pakunków, wleliśmy mu kilka kropli wódki w usta, poczem otworzył oczy. Na nasze pytania o przyczynę zemdlenia, odpowiedział, że dom jego zgorzał, a z nim prawdopodobnie zginęła i cała rodzina jego, poczem ponownie zemdłał tak silnie, że nie mogąc go się docucić, zmuszeni byliśmy go porzucić. Jeden z nas wziął na plecy pakunki i ruszyliśmy dalej.

Chcąc się dostać na drugą ulicę, musieliśmy przebyć przestrzeń trzystu może kroków, lecz droga ta była prawie niemożliwą do przebycia, z powodu, że leciał tam kompletnie deszcz z gorącego popiołu, który nas oślepiał. Radziłem przeczekać, aby popiół przestał lecieć, usłuchano mnie, tylko jeden uparł się przekroczyć tę przeszkodę i z okrzykiem: „Kto za mną pójdzie!“ puścił się w cwał, a za nim poszło dwóch. Ja zostałem z tym, co niósł nasze pakunki, zawierające trzy butelki wina, pięć wódki i trochę smażonych owoców.

Patrzyliśmy z natężeniem na naszych towarzyszy, lecz nie zdążyli ująć trzydziestu kroków, gdy jeden z nich przewrócił się, bo popiół tak mu oczy zasypał, że podniósłszy się, nic nie widząc, krzychał i przeklinał w okropny sposób. Drudzy, ukrywszy

twarze w dłoniach, starali się pociągnąć go za sobą, lecz było to niemożliwem, jak również i niemożliwym był powrót do mnie. Co do nas! nie śmieliśmy ryzykować oczu, aby pospieszyć im z pomocą, bo przejście stawało się coraz niebezpieczniejszem. Czekaliśmy blisko godzinę, zanim dostaliśmy się do nich.

Gdyśmy się nakoniec złączyli i rozejrzeli przed siebie, spostrzegliśmy z trwogą, że dalsza droga była niemożliwą. Po namyśle zdecydowaliśmy się zawrócić i przyszła nam wtedy szczęśliwa myśl, aby nakryć sobie głowy żelaznymi blachami od strony wiatru, płomieni i popiołu; w ten sposób, że trzymając je dwiema rękami, mieliśmy głowę i lewą część ciała prawie zupełnie zakrytą. Ścisnąwszy się, z wielką ostrożnością, trzymając naszego oślepionego za rękę, posuwaliśmy się, przyczem o mały włos kilkakrotnie nie przewróciliśmy koziołka.

Zatrzymaliśmy się w końcu na jakiejś ulicy, gdzie spostrzegliśmy wsuniętych w kąt jakiegoś domu kilka żydowskich rodzin i kilku Chińczyków, obciążonych szczątkami uratowanych sprzętów. Zdziwili się bardzo na nasz widok, prawdopodobnie Francuzi nie byli dotąd w tej dzielnicy. Prosiłmymy jakiegoś żyda, aby zechciał nas doprowadzić na plac gubernatora. Zgodził się na to chętnie i ruszył z nami w drogę razem z synem swoim. Ulice były tak zawałone szczątkami płonących domów, że dopiero o godzinie 11-ej wieczorem, po wielu trudach i niebezpieczeństwach, dostaliśmy się do obozu, z którego wyruszyliśmy wczoraj.

Nie odpoczywałem jeszcze naprawdę od chwili

przybycia do Moskwy, to też byłem tak strasznie zmęczony, że zaraz po powrocie położyłem się spać na futrach, dostarczonych przez żołnierzy w wielkiej ilości, i przespałem do godziny 7-ej rano.

Pułk nasz nie został zwolnionym jeszcze ze służby, lecz nie tylko on jeden. Wszystkie oddziały, nawet strzelcy i młoda gwardya, pod wodzą marszałka Mortier, mianowanego gubernatorem miasta, zajęte były od 36 godzin gaszeniem ognia, lecz było to wszystko na nic, bo opanowany w jednym miejscu, wybuchał w drugim z jeszcze większą siłą.

Jednakże ocalono dość domów, a nawet więcej, niż potrzeba było do pomieszczenia armii. Przyszło to z wielkim trudem, nie miano potrzebnych przyrzędów, gdyż Roztopczyn, wyjeżdżając z miasta, zabrał z sobą wszystkie sikawki, a te, które zostawił, były niezdatne do niczego.

Dzień 16-ty przeszedł na wykonywaniu wyroku na tych, których schwytano na podpalaniu. Odbyła się egzekucya niedaleko od placu gubernatorskiego, na niewielkim placu, zwanym „Placem Wisielców“.

W dniu naszego wkroczenia do Moskwy cesarz wydał do marszałka Mortier rozkaz, zabraniający rabunku. Ale gdy stało się jawnem, że Rosyanie sami miasto podpalają, niepodobna było powstrzymać naszych od grabieży. Brali sobie, co im się podobalo.

W nocy z dnia 17 wyruszyłem z dziesięciu ludźmi na poszukiwanie żywności, uzyskawszy przedtem od kapitana pozwolenie. Była to trzecia moja nocna wycieczka.

Ruszyliśmy przez ulicę, idącą od placu, prawie nietkniętą przez ogień i zamieszkałą przez wyższych oficerów gwardyi. Przeszedłszy kilka ulic, przedstawiających obraz strasznej ruiny, dostaliśmy się do nowej dzielnicy nie naruszonej przez ogień. Panowała tu niczem niezmacona cisza. Przed jednym z domów stało kilka pojazdów niezaprężonych i pustych. Gdyśmy przeszukiwali je, rozległ się kilkakrotnie przerażający krzyk, poczem znów zapanowała pierwotna cisza. Po namyśle zdecydowaliśmy się zwiedzić owe domy; do jednego ruszyłem z pięciu ludźmi, do drugiego kapral z pozostałymi, z zapalonymi latarniami i z dobytymi pałaszami; dom ten, sądząc z wyglądu zewnętrznego obiecywał bogatą zdobycz.

Drzwi zastaliśmy zamknięte, a nie chcąc robić łoskotu przy otwieraniu ich siłą, zaczęliśmy namyślać się nad sposobem dostania się do wnętrza. Zauważywszy otwarte drzwi od jakiegoś sklepu, łączącego się z resztą domu, weszliśmy do niego, a ztamtąd w głąb domu, w którym wszystko zachowane było w porządku. W jadalnym pokoju na stole stały resztki gotowanego mięsa, a pod ścianą na kufrze leżało kilka worków, napełnionych złotem. Widocznie nie zdążono go zabrać.

Poszukiwania nasze uwieńczone zostały pomyślnym skutkiem, znaleźliśmy bowiem bardzo dużo żywności, jako to: mąkę, masło, cukier, kawę i koszyk pełen jaj. Gdyśmy tak zajęci byli pakowaniem tego wszystkiego, sądząc, że jesteśmy w prawie konfiskowania wszystkiego, ze względu, że właściciele przedmioty te porzucili, a przytem lada chwila mogły się

one stać pastwą płomieni, przyszedł kapral, donosząc mi, że znalazł w zwiedzonym przez siebie domu, a należącym widocznie do fabrykanta powozów, przeszło trzydzieści małych eleganckich pojazdów, zwanych przez Rosyan dorożkami. W jednym z pokoi napotkali kilkunastu żołnierzy rosyjskich, śpiących na słomie, którzy na widok Francuzów padli na kolana, błagając o łaskę. Ponieważ byli strasznie poranieni, kapral dał im się napić wódki i pozostawił ich w spokoju, bo nam szkodzić nie mogli.

Udałem się tam zaraz dla wybrania dwóch wygodnych pojazdów, na które popakowaliśmy znalezione rzeczy. Widziałem także rannych, pomiędzy nimi znajdowało się pięciu gwardzistów i kilku Azyatów, których łatwo poznać było po sposobie, w jaki się kłaniali.

Gdyśmy wychodzili z tego domu, ciągnąc nasze pojazdy, spostrzegłem trzech ludzi, z których jeden uzbrojony był w pikę, drugi miał szablę, a trzeci zapaloną pochodnię. Ten ostatni podpalał dom, w którym nasi zajęci byli jeszcze zaborem rozmaitych przedmiotów. Wydaliśmy okrzyk, aby ich spłoszyć, ale żaden z nich nawet się nie poruszył; patrzyli na nas spokojnie, tylko ten, który zbrojny był w pikę, szykował się do obrony w razie naszego zbliżenia się, co było niemożliwem, bośmy mieli tylko pałasze. Kapral przyniósł dwa pistolety, zabrane rannym, i zaczął celować w nieprzyjaciela. Wstrzymałem go, nie chcąc robić hałasu, aby nie sprowadzić większej ich liczby.

Wtedy jeden z naszych towarzyszków, Bretończyk, schwycił niewielki dyszel i kręcąc młynka, ruszył na

przeciwnika, który, nie znając tego sposobu walki, stał spokojnie. W chwilę potem ze strasznym okrzykiem bólu runął na ziemię z połamanymi nogami. Bretończyk uderzył go raz jeszcze w głowę, że nie wydawszy żadnego głosu, skonał, chciał się następnie rzucić na pozostałych, aleśmy go powstrzymali. Trzymający pochodnię wbiegł do domu, aleśmy go dogonili i z pomocą pałaszy przyprowadzili do rozsądku, trzeci zaś zdał się na łaskę i niełaskę. Zaprzęgliśmy go do pojazdu najbardziej obciążonego, dodawszy mu jeszcze drugiego, którego schwytaliśmy na ulicy.

Przygotowując się do odjazdu napakowaliśmy w dwa powoziki wszystko, co się tylko w owych domach znalazło. Na pierwszym umieściliśmy kosz z jajami i przywiązaliśmy do niego grubymi linami naszych więźniów w obawie, aby się nam nie ulotnili, drugi powozik mieliśmy ciągnąć we czterech.

W chwili, gdyśmy mieli odjeżdżać, pokazał się ogień w domu fabrykanta karet. Myśl, że nieszczęśliwi ranni zginąć mają w strasznych męczarniach, wstrzymała nas. Pozanosiliśmy ich do jakiegoś oddalonego od domu zabudowania. Spełniwszy ten czyn ludzkości, śpieszyliśmy się z odjazdem, bo zaczął się ogień ukazywać w kierunku naszej drogi.

Zaledwie jednak uszliśmy dwadzieścia pięć kroków, ranni zaczęli przeraźliwie krzyczeć. Zatrzymawszy się, poszliśmy zobaczyć, co im się stało. Oto zapaliła się słoma na podwórzu i ogień dosięgać zaczął miejsca ich pobytu. Zrobiliśmy wszystko, co było można, aby ochronić ich od spalenia się żywcem, ale zginęli prawdopodobnie.

Śpiesząc się bardzo, aby ogień nie przeciął nam drogi, doszliśmy do ulicy, prowadzącej na plac gubernatora, i ujrzelśmy ją całą w ogniu. Trzeci to już raz starano się ją spalić.

Podszedłszy bliżej, zauważyliśmy, że wielu miejsc ogień nie dosięgnął, tak, że ryzykując, można ją było przebyć. Wiele gmachów już runęło, kilka groziło zawaleniem. Musieliśmy się jednak na coś zdecydować, bo domy po za nami palić się już zaczęły, zamykając i biorąc nas we dwa ognie.

Po namyśle postanowiliśmy, że powozy pójdą naprzód, a najpierw ten, który ciągnęli Rosyanie. Ci jednak, pomimo gęstych razów płazem szabel naszych, nie chcieli ruszyć się z miejsca. Wtedy ruszył wóz ciągniony przez naszych i szczęśliwie przebrnął najniebezpieczniejsze miejsca. Widząc to, na nowo zmuszać zaczęliśmy Rosyan do drogi. Ci widać spodziewali się czegoś gorszego, bo też teraz ruszyli z okrzykiem „hura“ naprzód i lecąc cwałem, przebiegli istotnie niebezpieczne miejsce, albowiem na ulicę zaczęły spadać płonące belki i rozmaite meble.

Przebywszy ten kawałek, znaleźliśmy się na placyku, utworzonym przez zbieg czterech ulic, stojących w ogniu, który starano się opanować, gdyż co chwila lały się strugi wody, nie pozwalające mu się rozszerzyć. Co chwila widzieliśmy domy, a nawet całe ulice niknące w dymie i gruzach.

Należało się jednak śpieszyć, aby wrócić do pułku, ale niestety, było to w danej chwili niemożliwym. Postanowiliśmy się zawrócić, aby przeczekać, aż cała ulica spłonie i droga wolną będzie. Rosyanie tym razem nie wahali się wcale i ruszyli pierwsi, ale

zaledwie przebyli połowę tej niebezpiecznej drogi, gdy rozległ się straszny loskot. To waliły się domy, a płonące belki i żelazne dachy stoczyły się na nasz wóz, miażdżąc go, a z nim i naszych więźniów. Szkoda nam było zapasów żywności, a szczególnie jajek.

Trudno opisać grozę położenia, w jakim się znaleźliśmy. Na szczęście, placyk na zbiegu ulic był dość dużym, aby mózdz nas jako tako pomieścić i gdzie mogliśmy oczekiwać chwili, w której ulica całkiem spalona zostanie i odkryje nam wolne przejście.

W czasie tego oczekiwania uwagę naszą zwróciła jakaś cukiernia w narożnym domu. Postanowiliśmy zabrać z niej wszystko, co się tam tylko znajduje, i dostawszy się przy pomocy drabiny przez okno, gdyż drzwi były zamknięte, w głąb domu, zeszliśmy do sklepu. Na górnych piętrach ogień zaczął już gospodarować.

Sklep na naszą wielką radość nie był naruszonym. Znajdowały się w nim wszelkiego rodzaju smażone owoce, mnóstwo likierów, cukierki i trzy ogromne worki mąki, z których najwięcej zadowoleni byliśmy. Nasze radosne zdziwienie zwięszyło się jeszcze, gdyśmy znaleźli kilka słoików musztardy z parzyką etykietą z ulicy Saint-André-des Arts N. 13.

Poznosiliśmy to wszystko na plac i znów oczekiwać zaczęliśmy chwili dogodnej do odjazdu.

Ponieważ woda nie przestawała się lać na nasze zapasy, zrobiliśmy sobie z drzwi domów rodzaj namiotu i w tem to schronieniu przebyliśmy przeszło cztery godziny, w czasie których upiekliśmy sobie doskonałych pączków z konfiturami w środku.

Doczekawszy się nakoniec wolnego przejścia, wyruszyliśmy, niosąc co się dało na plecach. Pojazd i mąkę zostawiliśmy pod strażą pięciu żołnierzy, bo przeprowadzić go było nie sposób, a to dlatego, że ulica była zapchaną połamanymi, na wpół spalonymi meblami, fortepianami, lustrami i nieskończoną ilością zbytekownych rzeczy.

O godzinie 10 rano dotarliśmy do miejsca, gdzie stała nasza kompania, i nie tracąc czasu, zaraz po przybyciu wysłaliśmy dziesięciu ludzi po to wszystko, cośmy zostawili. Wrócili po godzinie, ciągnąc za sobą nawet i powóz.

W dniu 18 korpus nasz został zwolnionym ze służby i otrzymał mieszkanie na ulicy, całkowicie nieomal ocalałej od pożaru, niedaleko pierwszych obmurowań Kremlinu. Dla żołnierzy przeznaczono olbrzymią kawiarnię z salą bilardową, a dla nas podoficerów dom piętrowy jakiegoś bojara. Żołnierze wyrzucili bilard na ulicę, a z sukna kilku z nich porobiło sobie płaszcze.

W piwnicach naszego domu znaleźliśmy masę wina, rumu Jamajka, kilkanaście antałów wyborne go piwa, pokrytego lodem dla zachowania go w świeżości, piętnaście skrzyń z winem szampańskim i hiszpańskim.

Żołnierze nasi tegoż dnia odkryli skład cukru. Porobiliśmy sobie znaczny zapas tegoż i co wieczór napełnialiśmy kilkakrotnie ponczem przepyszna srebrną wazę, zawierającą co najmniej sześć butelek. Znaleźliśmy ją w domu naszego bojara.

W dniu 19 cesarz odbył przegląd wojska przed pałacem w Kremlinie. Tegoż samego dnia wysłany

byłem razem z oddziałem strzelców, grenadyerów i szwadronu ułanów polskich na krańce Moskwy dla ocalenia od ognia pałacu letniego cesarzowej. Oddziałem tym, o ile pamiętam, dowodził generał Kellerman.

Wyruszyliśmy wieczorem o godzinie 8-ej, a na miejscu stanęliśmy o wpół do 10-ej. Przed nami wznosiła się wyniosła budowla; wydała mi się tak wielką jak Tuilerie, zbudowana z drzewa i ozdobiona sztukateriami, robiącemi wrażenie marmuru. Natychmiast wyznaczono strażę i ustawiono posterunek przed pałacem. Dla większej pewności porozsyłano patrole, kilku zaś, a w tej liczbie i ja, otrzymało rozkaz zwiedzenia wnętrza pałacu, dla przekonania się, czy niema tam kogo.

Temu to rozkazowi zawdzięczam poznanie tego olbrzymiego gmachu, umeblowanego we wszystko najbogatsze i najwspanialsze, co Europa i Azja posiadać mogły. Niestety! nie upłynęło pół godziny nawet od chwili naszego przybycia, gdy cały pałac pochłonięty został przez pożar, pomimo tak wielkich ostrożności, jakieśmy przedsiębrali. Ogień podkładano na wszystkie strony, na lewo, na prawo, z tyłu i z przodu, wybuchał odrazu, a sprawców widać nie było.

Generał rozkazał saperom gasić ogień, lecz nie posiadaliśmy ani wody, ani sikawek. W kilka chwil po wybuchnięciu pożaru ujrzeliśmy spokojnie schodzących z głównych schodów pałacu kilkunastu ludzi, z których większość trzymała jeszcze zapalone pochodnie. Wstrzymano ich zaraz. Byli to podpala-cze w liczbie dwudziestu jeden. Oprócz nich, wstrzy-

mano jeszcze jedenastu innych, lecz zdaje się, że ci nie byli wewnątrz. Nie mieli przy sobie nic takiego, coby wskazywało na nich, jako na podpalaczy.

Ocaliwszy tylko kilkanaście obrazów i drogowych przedmiotów, pomiędzy którymi znajdowały się regalia cesarskie, jako to: płaszcz aksamitny podbity gronostajami, jak również wiele innych rzeczy, lecz trzeba je było porzucić.

Może w pół godziny po rozpoczęciu pożaru zerwał się szalony wicher, który prznosił ogień na wszystkie strony, tak, że ujrzelśmy się nim otoczeni, bez możności wydostania się na zewnątrz. Wielu naszych zraniły kawałki płonącego drzewa. Dopiero o godzinie 2-iej rano wydostaliśmy się z tego piekła. Cała ta dzielnica zbudowaną była z drzewa i stała się pastwą płomieni.

Udaliśmy się z powrotem do obozu, zabierając z sobą więźniów w liczbie trzydziestu dwóch. Mnie powierzono straż nad nimi z rozkazem natychmiastowego zabicia tego, któryby uciekał lub nie chciał iść z nami.

Pomiędzy tymi nieszczęśliwymi dwie trzecie znajdowało się kryminalistów o postaciach ponurych, reszta byli to mieszczanie klasy najniższej i policyanci rosyjscy, łatwi do rozpoznania po swoim umundurowaniu.

W czasie mojego marszu zauważyłem jednego więźnia, ubranego w zieloną kaptotę, dosyć czystą, płaczącego jak dziecko i co chwila powtarzającego w dobrej francuszczyźnie:

— Mój Boże, straciłem w płomieniach żonę i syna.

Zauważyłem przytem, że więcej rozpaczał po synu, niż po żonie. Zaciekawiony jego francuszczyzną, spytałem go się, kimby był. Odpowiedział mi na to, że jest Szwajcarem z okolic Zurychu, nauczycielem języków niemieckiego i francuskiego i że przebywa w Moskwie od lat siedemnastu. Zaczął na nowo płakać i desperować, powtarzając ciągle:

— Mój drogi, kochany synu, mój biedny synu!

Wzbudził we mnie wielką litość swoją rozpazą, starałem się więc go pocieszyć nadzieją odnalezienia syna. Postanowiłem go ocalić od śmierci, która go niechybnie czekała. Obok niego maszerowało dwóch ludzi, trzymających się pod rękę, jeden był młody, drugi dużo starszy. Spytałem się Szwajcara, co to są za jedni. Powiedział mi, że to jest ojciec z synem, obaj krawcy:

— Ale — dodał: — ojciec ten jest stokroć szczęśliwszym odemnie, bo go nie rozłączono z synem i mogą umrzeć razem!

Wiedział, jaki go los czeka, gdyż rozumiejąc po francusku, usłyszał rozkaz, jaki co do nich wydano, a kończąc wymawiać przytoczone wyżej słowa, stanął i zaczął błdzić wkoło obląkanemi oczyma. Spytałem się, co mu się stało, lecz nie otrzymałem odpowiedzi. Po chwili westchnął bardzo boleśnie i zaczął na nowo płakać, mówiąc mi, że szuka swego mieszkania, że znajdowało się ono tu, a poznał szczątki jego po ogromnym, dobrze trzymającym się piecu.

Chwili, w której przedni oddział, złożony z ułanów polskich, zatrzymał się, nie wiedząc, gdzie iść dalej z powodu zabarykadowania szczątkami domów,

chciałem użyć na spełnienie życzenia nieszczęśliwego ojca, który chciał poszukać w popiołach zwłok syna i żony. Postanowiłem mu towarzyszyć. Szukaliśmy czas jakiś napróżno i już zacząłem go pocieszać, że prawdopodobnie oboje uniknęli okrutnej śmierci, gdy ujrzelśmy coś czerniejącego się u drzwi, prowadzących do piwnicy. Przybliżyłem się i odsuwając rozmaite, graty pokrywające ten zwęglony przedmiot, poznałem, że to były zwłoki, lecz tak spalone, że trudno było odróżnić czy to mężczyzna, czy kobieta. Zresztą i nie miałem czasu na to, bo Szwajcar, który szedł ciągle za mną jak obłąkany, rzucił się z rozdzierającym okrzykiem na trupa. Przy pomocy jednego żołnierza podniosłem go, lecz gdy przyszedł cokolwiek do siebie, wyrwał się nam z rąk, przeleciał cały dom, wzywając syna, a potknąwszy się u drzwi piwnicy, wpadł do niej.

Nie miałem wcale ochoty iść za nim, a wracając do oddziału rozmyślałem nad tem, com widział. Jeden z moich przyjaciół spytał mnie się, co się stało z mężczyzną, mówiącym po francusku. Opowiedziałem mu tragiczną scenę, której byłem świadkiem, a ponieważ jeszcze nie ruszaliśmy dalej, zaproponowałem mu, aby zwiedził zemną miejsce wypadku. Doszliśmy aż do drzwi piwnicy, z kąd wychodziły straszne jęki. Towarzysz mój chciał zejść na dół, aby go ztamtąd wydostać, ale wiedząc, że w takim razie wyprowadzimy go na śmierć niechybną, odradziłem mu to, dodając, że byłoby wielką nieostrożnością z naszej strony, zapuszczać się w miejsce nieznanne i ciemne.

Na szczęście, rozlegający się okrzyk „do broni“

odwrócił jego uwagę od nieszczęśliwego. Czekając aż oddział przeszedł, usłyszeliśmy naraz za sobą jakieś kroki. I jakież było moje zdziwienie, gdy odwróciwszy się, ujrzałem Szwajcara, dźwigającego na ramieniu przepyszne futra, aby zawinąć w nie trupy żony i syna. Poradziłem mu, ażeby schował się w piwnicy do chwili naszego odejścia i dopiero potem spełnił swój obowiązek. Nie wiem, czy nas zrozumiał.

Do Kremlinu przybyliśmy o godzinie 5-ej rano i zaraz pomieściliśmy więźniów w bezpiecznym miejscu, ale przedtem oddzieliłem obu krawców, ojca i syna, chcąc ich dla siebie ocalić. Przydali się nam bardzo w czasie naszego późniejszego pobytu w Moskwie.

Pożar w dniu 20-tym cokolwiek się zmniejszył. Marszałek Mortier, gubernator miasta, i generał Milhaud, komendant placu, zajęli się bardzo czynnie organizacją policyi. Wybrano do tego Włochów, Niemców i Francuzów, mieszkających w Moskwie, którzy pochowali się, ażeby uniknąć wypełnienia rozkazu Roztopczyńna, zmuszającego mieszkańców do opuszczenia miasta.

W samo południe z moich okien widziałem, jak rozstrzelano jednego kryminalistę. Przyjął śmierć z odwagą, mając taki wyraz twarzy, jakby pogardzał tymi, co mu śmierć zadawali. W kilka godzin potem rozstrzelano więźniów, których przyprowadziliśmy.

O godzinie 7-ej wieczorem otrzymałem od kapitana Delaitre'a zawiadomienie, że zostałem skazany

na areszt za to, że pozwoliłem umknąć trzem więźniom, powierzonym mojej pieczy. Tłómaczyłem się, jak mogłem, lecz nic to nie pomogło i musiałem udać się do kozy. Zastanowiwszy się głębiej, byłem z siebie zadowolony, że uratowałem życie trzem ludziom, o niewinności których byłem mocno przekonany.

Pokój, gdzie mnie umieszczono, łączył się z długą i wąską galeryą, prowadzącą do ogromnych zabudowań, w części tak zniszczonych przez pożar, że nikt tam nie chodził, a część, która ocalała, jak zauważyłem, nie była jeszcze wcale zwiedzana. Nie mając co robić, zacząłem się z ciekawości włóczyć po galeryi, a gdy doszedłem do jej końca, zdawało mi się, że słyszę szmer po za drzwiami jakiegoś zamkniętego pokoju. Nadstawiwszy uszu, usłyszałem jakąś rozmowę w obcym mi języku. Chcąc dowiedzieć się, co się tam dzieje, zastukałem. Nic mi nie odpowiadano, tylko zapanowała bardzo głęboka cisza. Zajrzałem przez dziurkę od klucza i dostrzegłem jakiegoś mężczyznę leżącego na kanapie i dwie kobiety, starające się go uciszyć. Ponieważ rozumiałem trochę po polsku, który to język jest pokrewnym rosyjskiemu, znów zastukałem, prosząc o wodę. Nie otrzymawszy i tym razem odpowiedzi, zacząłem bić nogami we drzwi, które mi wreszcie otworzono.

Na mój widok skryły się obie kobiety do drugiego pokoju. Zamknąłem drzwi za sobą i zbliżyłem się do postaci, leżącej na kanapie, która nie poruszyła się wcale. Poznałem w niej zaraz kryminalistę o twarzy nędznej i wstrętnej brudnej, ubranego w barani kożuch, przepasany rzemieniem. Obok niego leżała pika, dwie pochodnie, a za pasem miał parę pi-

stoletów. Wszystko to zaraz mu zabrałem, a jedną pochodnią, wielką jak moje ramię, uderzyłem go tak silnie, że otworzył oczy, poczem chciał się rzucić na mnie, ale przewrócił się jak długi. Gdy wziętem go na cel, spojrzał na mnie przerażonym wzrokiem, i chciał się podnieść, lecz powtórnie upadł. W końcu udało mu się powstać. Widząc, że jest zupełnie pijanym, wziętem go pod ręce i doprowadziwszy w ten sposób do końca galeryi, zrzuciłem go ze schodów. Stoczył się z nich i zatrzymał aż przy drzwiach oddziału policyi na wprost schodów. Policyjanci wsadzili go do więzienia, w którem znajdowało się mnóstwo podobnych do niego indywiduów, zatrzymanych na ulicach.

Wróciłem potem do pokoju i zamknawszy starannie drzwi za sobą, zabrałem się do przeszukiwania go. W drugim pokoju ujrzałem dwie Dulcyneje, siedzące na kanapie. Nie zdawały się bardzo zdziwione na mój widok, owszem, zaczęły jedna przez drugą coś mówić do mnie, ale nic a nic ich nie rozumiałem. Gdy się cokolwiek uciszyły, spytałem się, czy nie mają cokolwiek do zjedzenia. Zrozumiały mnie doskonale, bo przyniosły mi kwaszonych ogórków, cebuli, spory kawałek solonej ryby i trochę piwa, ale ani kawałka chleba. Młodsza z nich podała mi jeszcze butelkę gorzalki, była to jałowcówka gdańska. W niespełną godzinę wypróżniliśmy ją całą. Niezadługo potem opuściłem je i wróciłem do siebie.

Zastałem w pokoju czekającego na mnie od niejakiegoś już czasu podoficera z naszego pułku. Na jego pytania, co do tak długiej mojej nieobecności,

opowiedziałem mu moją przygodę, z której zdawał się być bardzo zadowolonym, a to dlatego, że mogliśmy spożytkować znajomość z Rosyankami i użyć je za praczki, oraz do reperacyi naszej bielizny.

Rano w dniu 21-m obudził mnie wystrzał. Dowiedziałem się później, że to rozstrzelano kilkunastu kryminalistów i policyantów, złapanych na podpalaniu szpitala Podrzutków, gdzie pomieszczono naszych rannych. Koło godziny 10-ej byłem wypuszczony na wolność.

W mieszkaniu zastałem obu uratowanych krawców, pilnie pracujących nad robotą płaszczy z sukna, wziętego z bilardów. Potem udałem się do naszych kobiet, które zajęte były praniem naszej bielizny, co im szło dość niezręcznie w ciężkich jedwabnych strojach. Reszta dnia przeszła mi na urządzaniu mieszkania i zaopatrywaniu się w żywność, bo podobno mieliśmy zimować w Moskwie. Zebraliśmy siedem dużych skrzyń z winem szampańskim i hiszpańskim, pięćset butelek rumu Jamajka, więcej niż sto głów cukru, a miało to być wszystko dla sześciu podoficerów, dwóch kobiet i kucharza.

Mięso było rzadkością. Tegoż wieczoru zdobyliśmy krowę, prawdopodobnie z takiego miejsca, zkąd nie było wolno jej zabierać, to też dlatego zabilśmy ją w nocy, aby nas nie widziano.

Oprócz tego mieliśmy mnóstwo szynek, zabranych z wielkiego bazaru, ryby solonej, kilka worków mąki, dwie beczki z łojem, który wzięliśmy myśląc, że to masło, i bardzo dużo piwa. To były nasze zapasy na całą zimę, jeżeliby nasz pobyt w Moskwie miał trwać tak długo.

Wieczorem otrzymaliśmy rozkaz zebrania się do apelu o godzinie 10-ej. Większa część oddziału spała spokojnie w sali bilardowej na bogatych futrach sobolowych, niedźwiedziej, lisich i lwich skórkach, część obwinęta była w długie szale, tworzące jakby turbany, co nadawało im wygląd raczej sułtanów, niż gwardzistów, a do całkowitego złudzenia brakowało im tylko huryszek.

Ponieważ osiemnastu ludzi nie wróciło jeszcze z miasta, przedłużyłem apel do godziny 11-ej, a to dlatego, aby ich nie podać za nieobecnych, i rzeczywiście wrócili wszyscy, każdy ze zdobyczą. Pomiędzy przyniesionymi przez nich przedmiotami było kilka srebrnych tac ozdobionych płaskorzeźbą, kilka sztab srebra, bardzo długich, mnóstwo futer, szali indyjskich, tkanych złotem i srebrem. Prosił mnie o pozwolenie na jedną jeszcze wycieczkę dla przyniesienia wina i smażonych owoców, które pozostawili w jakiejś piwnicy. Pozwoliłem im, ale dodawszy kaprała. Muszę wspomnieć o tem, że ze wszystkich zdobytych rzeczy my, podoficerowie, dostawaliśmy dwudziestą część.

Dzień 22 przeszedł nam na zwiększaniu zapasów, na śpiewach, śmiechu, piciu i paleniu.

W dniu 23 rozstrzelano na podwórzu kawiarni jednego z kryminalistów. Otrzymaliśmy rozkaz szykowania się na przegląd, którego dokonać miał sam cesarz.

Rankiem dnia 24 wyruszyliśmy do Kremlinu, w którym było już zebranych kilka pułków. Cesarz rozdał wtedy mnóstwo orderów i awansów. Wszyscy

oni zasłużyli na nie, bo już kilkakrotnie przelewali krew swą na polu chwały.

Skorzystałem ze sposobności i zwiedziłem wszystko, co zasługiwało na uwagę w Kremlinie, między innymi cerkiew ś. Michała z grobami cesarzów rosyjskich. W tej cerkwi strzelcy I-go pułku gwardyi w pierwszym dniu naszego przybycia szukali skarbów ukrytych w piwnicach. Lecz się zawiedli, bo znaleźli tylko kamienne sarkofagi, ozdobione srebrnymi tablicami z napisami. Oprócz tego spotkali tu kilka osób z miasta, którym się zdawało, że pod opieką zmarłych bezpieczniejsi będą. Między nimi była i piękna, młoda dama, należąca podobno do najpierwszych rodzin stolicy, która zrobiła głupstwo, bo zakochała się w jakimś wyższym oficerze gwardyi, a później jeszcze większe, gdy poszła za nim w czasie naszego odwrotu. Zginęła od głodu, chłodu i nędzy.

Po zwiedzeniu grobów w cerkwi św. Michała obejrzałem sławny dzwon we wszystkich jego szczegółach. Wysokość jego dosięga dziewiętnastu stóp. Część dzwonu schowaną była w ziemię, prawdopodobnie zarył się sam swym ciężarem, gdy w chwili spalenia się drewnianej dzwonnicy, dzwon oberwał się i spadł.

Niedaleko od niego, wprost pałacu, znajduje się arsenał, u wejścia którego z obu stron stały olbrzymie armaty, a trochę dalej na lewo znajduje się katedra z dziewięcioma kopułami, pokrytymi złoconą miedzią. Na najwyższej sterczy krzyż Iwana Wielkiego, który góruje ponad całym Kremlinem; ma on 30 stóp wysokości i zrobiony jest z drzewa, pokry-

tego grubo złożoną srebrną blachą. Kilka łańcuchów, także złożonych, podtrzymuje go ze wszystkich stron.

W parę dni potem kilku robotników i cieśli otrzymało rozkaz zdjęcia go, bo cesarz chciał go zawieźć do Paryża, jako trofeum, lecz przy zdejmowaniu zerwał się i pozabijał wszystkich, którzy byli przy tem. Tenże sam los spotkał i robotników, zdejmujących srebrne orły z murów Kremlinu.

W dniu 25 zwiedzaliśmy ruiny miasta. Przechodząc przez kilka dzielnic zupełnie nam nieznanych dotychczas, spotykaliśmy siedzących na gruzach ludzi; byli tam wieśniacy, kobiety, brudne i wstrętne, żydzi i żołnierze. Wszystko to szukało po piwnicach ocalałych od ognia rzeczy. Obciążeni byli nie tylko winem i cukrem, ale także szalami, wspaniałymi syberyjskimi futrami, sztukami materji tkanych złotem i srebrem i mnóstwem innych cennych przedmiotów.

Tegoż dnia wieczorem ogień dostał się do świątyni prawosławnej, wprost naszego mieszkania, a przytykającej do domu, zajmowanego przez marszałka Mortier. Pożaru nie można było stłumić pomimo natychmiastowego ratunku. Świątynia ta, w której nic nie było ruszone, w niedługim czasie zamieniła się w popiół, a było to tem smutniejsze, że odprawiano tu nabożeństwa i kilka nieszczęśliwych rodzin znalazło tu schronienie.

W dniu 26 przeznaczony zostałem na wartę dla strzeżenia cesarskich pojazdów, umieszczonych w stajniach, które były położone na jednym z krańców miasta. Wprost stajen stała karczma, w której

zamieszkała część I-go korpusu. Aby się tam dostać miałem blisko milę drogi, prawie obróconej w popiół. Na prawym brzegu Moskwy stało kilka pięknych willi, niektóre z nich były na wpół spalone.

Niedaleko od miejsca posterunku spostrzegłem niewielki dom, ocalały od zniszczenia. Postanowiłem go zwiedzić z ciekawości. Tu dziwnym trafem losu spotkałem mieszkańca Strasburga, mówiącego doskonale po francusku, którego jakaś fatalność przyniosła do Moskwy na kilka dni przed naszym przybyciem. Opowiadał mi, że posiadał handel win reńskich i szampańskich, których znaczny transport stracił wskutek zaboru i w tych kilku dniach przepadł cały jego majątek, wynoszący więcej niż milion franków, tak, że dziś nie ma czem zaspokoić głodu. Ofiarowałem mu swoją porcyę zupy ryżowej, którą przyjął z wdzięcznością.

Cesarz rozkazał robić przygotowania do przezimowania w Moskwie, w nadziei, że pokój niedługo zostanie zawartym. Przygotowania te rozpoczęły się od założenia szpitala dla rannych żołnierzy, w którym traktowano Rosyan tak, jak i naszych.

Zgromadzono żywność wszelkiego rodzaju, jaką tylko znaleźć mogli; w świątyniach, ocalonych od zniszczenia, odprawiano nabożeństwa. Niedaleko od nas stał kościół katolicki, w którym jeden z księży francuzkich, emigrant, odprawiał mszę. Złożył się nawet teatr, w którym, jak mnie zapewniano, odbyły się przedstawienia francuzkich i włoskich artystów. Czy to przedstawienie rzeczywiście miało miejsce, ręczyć nie mogę, to tylko jest pewnem, że aktorzy zapłaceni byli za sześć miesięcy, co przeko-

nać powinno było nieprzyjaciela, że zamierzamy bawić w stolicy dłużej.

Z wycieczek po łupy, jakie nasi żołnierze robili, mieliśmy ogromną ilość kostyumów męzkich i kobiecych, różnych narodowości i epok, a nawet kostyumu francuskie z czasów Ludwika XVI, wszystkie odznaczające się wielkiem bogactwem. Z tego powodu raz po obiedzie zaproponowano urządzenie balu kostyumowego. Zapomniałem wspomnieć, że Flament, mój współziomek, który przybył do mnie w odwiedzinie, przyniósł nam smutną wiadomość o katastrofie, jaka spotkała dzielnego pułkownika Martod, dowodzącego pułkiem, w którym Flament służył.

Pułkownik w dniu 25, będąc wysłany z 200 dragonami dla przejrzenia okolicy Moskwy, wpadł w zasadzkę i został otoczony przez trzytysięczne wojsko. Broniąc się zaciekle, pułkownik Martod został śmiertelnie raniony. Kapitan i adjutant major, po rozpaczliwej obronie, dostali się do niewoli. Nazajutrz pisał swą wołę i wkrótce umarł.

Lecz wracam się do naszego balu prawdziwie karnawałowego, gdzie każdy z nas był przebrany.

Przygotowania do niego rozpoczęły się od przebierania Rosyanek w damy francuskie, to jest w margrabiny, a ponieważ nie wiedziały, jak się do tego wziąć, zmuszony byłem razem z Flamentem pomagać im. Nasi dwaj krawcy przebrali się za Chińczyków, ja za bojara rosyjskiego, Flament za margrabiego, nawet matka Dubois przystroiła się wspaniale w bogaty narodowy strój damy rosyjskiej. Fryzyer

poczesał nasze margrabiny, bośmy dla nich nie mieli peruk, zamiast pomady użył łoju, zamiast pudru — mąki. Gdy już przygotowanem zostało wszystko, rozpoczęły się tańce. W czasie przygotowań wypiliśmy dużo ponczu, zrobionego przez Meleta, starego dragona, a nasze margrabiny piły tak dużo, że w końcu były zupełnie podchmielone.

Muzyka składała się z fletu, na którym grał sierżant przy akompaniamencie bębna.

Zaledwie rozpoczęła się muzyka i matka Dubois puściła się w tany z kuryerem pułku, gdy nasze margrabiny, którym zapewne nasza muzyka przypadła do gustu, zaczęły wyprawiać takie skoki, że można było pomyśleć, iż opętane zostały przez dyabła. Nie byłoby w tem nic dziwnego, gdyby były pozostały w swych dawnych strojach, ale widząc skaczące, jak opętane margrabiny francuskie, które zwykle są tak poważne, nie mogliśmy się powstrzymać od śmiechu. Flecista aż przerwał muzykę, tylko nasz dobosz najspokojniej bębnił dalej. Nasz śmiech podniecił jeszcze bardziej owe piękności, które skakały tak długo, że w końcu ledwie żywe poupadały na ziemię. Bawiąc się w ten sposób, przesiedzieliśmy do 4-ej rano.

Matka Dubois, szanując godność markietantki, jak również czując wartość stroju z jedwabiu przetykanego złotem i srebrem, jaki miała na sobie, wracała do domu sama. Ale gdy wychodziła, sierżant ze straży, widząc jakąś nieznaną a wystrojoną damę, chwycił ją wpół i chciał zabrać do siebie. Matka Dubois, mając trochę w głowie, wymierzyła mu głośny policzek, a tak niespodziany, że ten upadł na

ziemię z okrzykiem „do broni!“ Warta chwyciła za broń, a my na te krzyki zeszlśmy na dół i z trudem wyrwaliśmy matkę Dubois z rąk rozłoszczonego sierżanta, który ledwie mógł zrozumieć, że palnął głupstwo, zatrzymawszy taką kobietę, jak matka Dubois.

Dnia 1-go października wysłano nas o kilka mil od Moskwy do jakiegoś wielkiego pałacu, aby przywieźć ztamtąd żywności i paszy dla koni. Zdobycz nasza była niewielka, bo tylko jeden wóz, napełniony sianem. W czasie powrotu spotkaliśmy się z kawaleryą rosyjską, która nie śmiała nas atakować. Trzeba dodać, że maszerowaliśmy w sposób okazujący, że sobie nic z nich nie robimy, bo chociaż byli liczniejsi od nas, położyliśmy kilku z nich trupem. Szli za nami prawie od samej Moskwy.

Nazajutrz dowiedzieliśmy się, że cesarz uzbroił Kremlin i trzydzieści armat rozmaitego kalibru ustawiono na wieżach, sterczących przy murach Kremlinu.

Dnia 3 robotnicy ze wszystkich pułków zajęci byli kopaniem ziemi i umacnianiem starych murów, a oprócz tego zakładano wszędzie miny, aby w razie potrzeby wysadzić Kremlin w powietrze.

W dniu 4 dowodziłem robotnikami naszego oddziału. Tegoż dnia rano jeden z inżynierów został zabity, tuż koło mnie, odłamem cegły, w chwili, gdy pilnował podkładania miny. Tegoż dnia koło jakiegoś kościoła widziałem kilkanaście trupów, z nogami i rękami podgryzanymi, prawdopodobnie przez wilki lub psy, których tu nie brakowało.

Każdą chwilę, wolną od służby, spędzaliśmy na

zabawach i rozmowie o Francji, od której byliśmy oddaleni i mieliśmy przed sobą możliwość jeszcze większego oddalenia. Wieczorem przyłączali się do nas dwaj nasi więźniowie, a raczej dwie margrabiny, gdyż od chwili balu, nie nazywaliśmy ich inaczej. Podtrzymywały nam głowy, gdyśmy zanadto wypili ponczu z araku Jamajka.

Reszta pobytu w Moskwie zeszła nam na rewiach i przeglądach do chwili, gdy przybył umyślny posłaniec z wiadomością, że Rosyanie nie przyjęli zawieszenia broni, i że uderzyli na kawaleryę Murata, który się tego wcale nie spodziewał. Cesarz był na rewii w chwili otrzymania tej wiadomości; rewia też zaraz przerwana została. Wieczorem otrzymaliśmy rozkaz, ażebyśmy byli gotowymi do wymarszu.

Oddaliśmy dwom Rosyankom i krawcom całą naszą zdobycz, nie mogąc jej zabrać z sobą.

III.

Odwrót.—Przegląd mego worka.—Cesarz w niebezpieczeństwie.—Z Możajska do Sławkowa.

Wieczorem w dniu 18-ym października, w chwili, gdyśmy się wszyscy podoficerowie zebrali razem, rozciągnięci na bogatych wspaniałych skórach gronostajowych, lwich i niedźwiedzich, paląc ze zbytko-wnych fajek tytoń indyjski i popijając poncz z rumu Jamajka, dymiącego wpośród nas z olbrzymiej srebrnej wazy bojara rosyjskiego, w chwili gdy rozmawialiśmy o Francyi i o tem, z jaką dumą wrócimy do niej, jako zwycięzcy po tylu latach nieobecności, gdyśmy obiecywali sobie, że przysięgać będziemy Mongołkom, Chińczykom i Indyankom wierność, usłyszeliśmy jakiś hałas w głównej sali. W tej-że chwili oficer służbowy oznajmił nam, że został wydany rozkaz, aby wszyscy szykowali się do odwrotu.

Nazajutrz wczesnym rankiem całe miasto napełniło się żydami i wieśniakami rosyjskimi. Żydzi przyszli po kupno tego, czegośmy z sobą unieść nie

mogli, wieśniacy aby zbierać to, co zostawimy po sobie.

Dowiedzieliśmy się wtedy, że marszałek Mortier pozostał w Kremlinie z 2,000 oddziałem, otrzymawszy rozkaz, aby w razie napadu bronił się do upadłego.

Wyruszyliśmy z miasta po południu dnia 19-go, zaopatrzywszy się przedtem w rozmaite trunki, które umieściliśmy na wózku matki Dubois, naszej markietanki, nie zapomniawszy i o wazie srebrnej. Noc już prawie była, gdyśmy wyszli po za bramy miasta i znaleźliśmy się wpośród niezliczonej ilości wozów, kierowanych przez ludzi najrozmaitszych narodowości na przestrzeni dobrej mili. Słychać było języki: francuzki, niemiecki, włoski, hiszpański, polski, portugalski i inne, gdyż ciągnęło za nami mnóstwo żydów i wieśniaków rosyjskich. Wszystkie te narody ze swym odrębnym językiem i strojem, markietanki ze swemi płaczącymi dziećmi, tłoczyły się w strasznym nieładzie i nieporządku, o którym, nie widząc go, nie można mieć wyobrażenia. Niektórzy krzyczeli i przeklinali, stojąc nad swemi połamanemi wozami, w tak straszny sposób, że zdawało się, iż hałas ten rozsądzi nam głowy. Przedostaliśmy się w końcu z wielkim trudem przez te szeregi wozów i bryczek, posuwając się jakiś czas w kierunku Kaługi. Zatrzymaliśmy się już bardzo późno biwakiem w jakimś lesie na resztę nocy. Spoczynek nasz nie był długim.

Z nastaniem dnia ruszyliśmy w dalszą drogę. W odległości może mili natknęliśmy się na większą część nieszczęsnych wozów, które wyprzedziły nas w chwili spoczynku. Większa część była potrzaska-

ną i nie mogła się dalej posuwać, bo droga była strasznie piaszczysta. Hałas był tu nie do wytrzymania, krzyczano tu po francuzku, przeklinano po niemiecku, błagano Boga po włosku, a Matkę Boską po hiszpańsku i portugalsku.

Wyminąwszy nareszcie cały ten rwetes, zmuszeni byliśmy zatrzymać się, aby poczekać na lewe skrzydło naszego pułku. Skorzystałem z tej chwili, aby przejrzeć mój worek, który ciążył mi bardzo i zobaczyć, czy nie możnaby czegokolwiek zeń wyrzucić. Był on dobrze napakowany, znajdowało się w nim bowiem kilka funtów cukru, ryżu, trochę sucharów, pół butelki likieru, kostyum chiński z materii tkanej złotem i srebrem, mnóstwo złotych i srebrnych rzeczy, a także kawałek pokrywy srebrnej, pozłacanej, z krzyża Wielkiego Iwana. Dostałem go od mego towarzysza, który uczestniczył przy zdejmowaniu go z wieży.

Oprócz tego miałem mój galowy mundur, ubranie kobiece do konnej jazdy, dwa srebrne obrazy wielkości ośmiu cali, pokryte całe płaskorzeźbą. Jeden wyobrażał sąd Parysa na górze Ida, drugi — Neptuna, jadącego na wozie muszlowym, ciągniętym przez dwa łabędzie. Były to skończone dzieła sztuki. Znalazłem to wszystko w piwnicach palonych domów i przeznaczyłem na podarki.

Nic więc dziwnego, że worek mój ważył dużo, ale, aby ulżyć sobie, wyrzuciłem białe spodnie, przypuszczając, że mi potrzebnymi nie będą. Na sobie zaś miałem koszulę, kamizelkę z jedwabiu żółtego podwatowaną i wypikowaną, którą sobie sam zrobiłem z jakiegoś kobiecego kaftana, dalej miałem sze-

roki płaszcz, podbity skórą gronostaja, dużą torbę, zwieszającą się u boku na długim i szerokim galonie srebrnym, zawierającą także wiele rzeczy, pomiędzy którymi miałem niewielki krzyżyk ze złota i srebra i małą wazę z chińskiej porcelany. Te dwie sztuki ocalały z tej okrutnej powodzi, posiadam je dotąd i chronię, jak relikwie. Dodawszy do tego tornister, broń i 60 nabojów w ładownicy, wesołość, zdrowie, dobrą wolę i nadzieję pokazania mej zdobyczy damom mongolskim, chińskim i indyjskim, możecie sobie wyobrazić sierżanta z piechoty gwardyi cesarskiej.

Zaledwie skończyłem przegląd mego worka, gdy rozległy się strzały niedaleko nas. Schwyciliśmy broń i przyśpieszyliśmy kroku. W pół godziny dotarliśmy do miejsca, gdzie konwój, eskortowany przez oddział czerwonych ułanów gwardyi, został napadnięty przez kozaków.

Na polu leżało zabitych kilku ułanów, kilku Rosyan i wiele koni. Niedaleko jakiegoś powozu leżał trup pięknej kobiety. Dalsza droga była dosyć ładna. Wieczorem zatrzymaliśmy się w dość dużym lesie na noc.

Dnia 22 padał deszcz. Posuwano się bardzo powoli i z wielkim trudem do wieczora, poczem zatrzymano się na noc koło jakiegoś lasu. W nocy obudził nas straszny huk. Dowiedzieliśmy się później, że to marszałek Mortier kazał wysadzić w powietrze Kremlin, mając do tego dostateczną ilość prochu. Marszałek wyruszył z Moskwy w trzy dni po nas, to jest dnia 22-go z 10,000 tysiącami wojska, w liczbie którego znajdowały się dwa pułki młodej gwar-

dyń, którą spotkaliśmy na drodze do Możajaka. Przez resztę tego dnia niewiele uszliśmy.

W dniu 24 doszliśmy prawie do Kaługi. W tym dniu armia włoska pod wodzą księcia Eugeniusza, i pułk, dowodzony przez generała Corbineau, biła się pod Małym Jarosławcem z armią rosyjską, która nie chciała nas przepuścić. W bitwie tej, bardzo krwawej, walczyło naszych 16,000, przeciwko 70,000. Straty Rosyan wynosiły 8,000, nasze 3,000. Pomiędzy zabitymi i rannymi znajdowało się kilku wyższych oficerów i generał Delzons, trafiony kulą w czoło. Brat jego, pułkownik, chcąc go ratować, został także raniony i obydwaj zginęli jednocześnie.

W dniu 25-ym postawiono mnie na warcie przed odosobnionym domem, gdzie stanął cesarz i noc przepędził. O wschodzie słońca, nie uprzedziwszy nikogo, zerwał się wcześniej i w towarzystwie kilku oficerów odjechał konno. W jakiś czas potem usłyszeliśmy wielki hałas. Z początku sądziliśmy, że to są okrzyki: „Niech żyje cesarz!“ lecz wsłuchawszy się dobrze, wyraźnie dobiegł naszych uszów okrzyk: „do broni!“ Sześć tysięcy kozaków pod wodzą Platowa, dzięki zaroślom, zbliżyło się do obozu. Zaraz też kawaleria gwardyi wyruszyła ku nim i po niedługiej walce zmusiła do ucieczki, odbiwszy zabrany nam bagaż i zadawszy im dobre cięgi.

Gdyśmy się wydostali na pole walki, ujrzeliśmy cesarza prawie wpośród kozaków, otoczonego generałami i oficerami sztabu, z których jeden był niebezpiecznie rannym przez fatalną pomyłkę. W chwili rozpoczęcia walki oficerowie zmuszeni bronić siebie

i cesarza od niewoli, wydobyli szable i rzucili się z niemi na kozaków. Jeden z nich zgubił w walce kapelusz i szablę. Będąc bez broni, rzucił się na jakiegoś kozaka, wyrwał mu pikę i nią walczył. W tej chwili spostrzegł go jakiś grenadyer z gwardyi, a biorąc go za nieprzyjaciela z powodu piki i zielonego płaszcza, rzucił się na niego i zadał mu ciężki cios szablą.

Poznawszy swą pomyłkę, nieszczęśliwy grenadyer szukał śmierci w walce i rzucił się na nieprzyjaciela na oślep. Zarąbawszy bardzo dużo kozaków i nie znalazłszy śmierci, powrócił do oddziału, zlany krwią, dopytując się o rannego oficera. Ten ostatni wyzdrowiał i powrócił do Francyi.

Przypominam sobie, że w kilka godzin po tej utarczce cesarz ze śmiechem opowiadał królowi Muratowi, że niewiele brakowało, aby się dostał do niewoli. Odznaczył się wtedy grenadyer z piechoty, Monfort z Walencyi.

Przebywszy jeszcze kilka godzin na tem stanowisku, ruszyliśmy dalej, zostawiając Kaługę z boku i kierując się w stronę Możajska. Teżże nocy schwycił pierwszy mróz.

Wczesnym rankiem dnia 28 ruszyliśmy dalej i dotarliśmy do miejsca sławnej bitwy. Pole zasiane było jeszcze trupami po większej części nieprzyjacielskimi, gdyż naszych, o ile to było możliwem, pogrzebaliśmy wszystkich. Ponieważ robiono to bardzo pośpiesznie, znajdowaliśmy teraz wystające ręce, nogi, a nawet połowę ciała z ziemi. Smutniejszego widoku nie widziałem nigdy, jak te trupy ludzkie,

bezkształtne zupełnie, gdyż bitwa odbyła się przed sześciu tygodniami.

Stanęliśmy obozem niedaleko miejsca wielkiej reduty, gdzie generał Coulaincourt zabitym został i pochowanym. Staraliśmy urządzić się tak, by spędzić noc jak najwygodniej, roznieciliśmy ogień z resztek broni, skrzyń, brakowało nam tylko wody, gdyż niewielka rzeczka, która płynie tamtędy, napelnioną była rozkładającymi się trupami. Po posiłku zwiedziliśmy we dwóch pole walki i doszliśmy do miejsca, gdzie król Murat rozbił swe namioty.

Tegoż dnia chodziła po obozie pogłoska, że na polu bitwy znaleziono żyjącego jeszcze grenadyera z oderwanymi nogami. Obok niego miał leżeć koń, którego mięsem się żywił, popijając wodą z rzek pełnej trupów. Mówiono, że go uratowano, ale tylko na czas jakiś, później musiano go porzucić, jak tylu innych. Tegoż dnia jeszcze po raz pierwszy wkraść się głód do obozu, a mianowicie do tych, którzy wyczerpali już swe zapasy. Do tego czasu każdy z nas przed posiłkiem oddawał pewną część ryżu do ugotowania, lecz gdy zauważono, że wielu już go nie posiada, nie chciano go dawać i zadawalniano się tylko zupą z koniny, która od kilku dni była głównym naszym posiłkiem.

W następnym dniu przechodziliśmy koło klasztoru, w którym pomieszczeni byli ranni z owej wielkiej bitwy. Cesarz rozkazał przenieść ich na wozy, co też i uczyniono, ale markietanki porzuciły tych nieszczęsnych na drodze pod rozmaitym pretekstem, lecz głównie dlatego, by móżdż dowieźć swą zdobycz, zabraną w Moskwie. Noc przepędziliśmy

w lesie pod Gzackiem, w którym stanął cesarz. Po raz pierwszy w nocy padał śnieg.

Nazajutrz dnia 30 droga stała się bardzo uciążliwą, mnóstwo wozów z trudem posuwało się, wiele z nich było już połamanych, z innych wyrzucano niepotrzebne przedmioty. Tegoż dnia szedłem w tylnej straży. Droga została pokryta kosztownymi przedmiotami, obrazami, kandelabrami i ksiązkami.

Były tam dzieła Voltaire'a, Jana Jakóba Rousseau'a, „Historya Naturalna” Buffona, wszystkie oprawne w skórę czerwoną i złoczone na brzegach.

W tymże dniu dostałem niedźwiedzią skórę, którą dał mi jakiś żołnierz, mówiąc, że znalazł ją na wozie pełnym futer. Wtedy to markietanka nasza straciła wóz, a z nim nasze zapasy i wazę srebrną.

Przeszliśmy Wiazmę. Zapomniałem wspomnieć, że przed Wiazmą zatrzymaliśmy się na odpoczynek; wtedy to zagłębiwszy się trochę w las jodłowy, natknąłem się na sierżanta strzelców z gwardyi, który gotował sobie zupę z ryżu na resztkach ognisk. Zaprosił mnie na nią. Była z nim markietanka ich oddziału, Węgierka, która zdołała zachować swój wóz w całości, napełniony żywnością, srebrem i futrami. Przez cały czas spoczynku byłem z nimi. Dla ogrzania się, zbliżył się do nas jakiś oficer portugalski i na moje zapytanie, co się dzieje z jego pułkiem, odrzekł mi, że pułk jego został rozбитý, a jego przeznaczono do eskortowania 600 do 800 więźniów rosyjskich, którzy nie mając co jeść, zjadali się z głodu nawzajem. Dla przekonania mnie o prawdzie swych słów, proponował mi, bym poszedł sam to zobaczyć. Od-

mówiłem mu. I ta wstrętna scena odbywała się za ledwie o sto kroków od nas. W kilka dni potem dowiedziałem się, że nie mogąc wyżywić tylu więźniów, porzucono ich na drodze.

Sierżant strzelców, który mi to opowiadał, dostał się do niewoli w Wilnie.

W dniu 1-ym listopada przenocowaliśmy w lesie, tuż koło drogi. Od kilku dni żywiliśmy się tylko koniną. Rozpoczęła się straszna nędza, gdyż z brakiem żywności zjawił się i mróz, który już dobrze dawał się odczuwać. Miałem jeszcze w zapasie trochę ryżu, lecz chowałem go starannie, bo przeczuwałem, że nasza nędza zwiększy się jeszcze.

Byłem dnia tego znów w tylnej straży, składającej się z podoficerów, gdyż większa część żołnierzy zatrzymała się, by odpocząć i ogrzać się przy ogniskach. Idąc, spostrzegliśmy kilku gwardzistów, grzejących się u dużego ogniska. Wysłano mnie, bym ich skłonił do marszu; zbliżywszy się, poznałem między nimi Flament'a, kawalerzystę dragonów, pięknego sobie kawalek koniny. Zaprosił mnie na nią. Przekładałem mu, by szedł z nami, odpowiedział, że jak odpocznie, to ruszy dalej, że jest bardzo niešťeliwym, bo mu wczoraj zabito konia i musi iść teraz piechotą w podartych butach. Na szczęście żołnierz, który mi towarzyszył, miał w zapasie parę butów, dałem je więc biednemu Flamentowi. Pożegnałem się z nim, nie przypuszczając, że się już nigdy w życiu nie zobaczymy. Dowiedziałem się później, że został zabity pod Jłasem, w chwili gdy z kilku innymi maruderami rozpałał ogień.

Dnia 2 listopada pod Sławkowem spostrzegliśmy

wielki zakład, w którym zastaliśmy kilkunastu woj-
skowych z różnych pułków i rannych. Ci, co byli
mniej chorzy i co mogli iść, poszli za nami, inni za-
jęli wozy; co się zaś tyczy chorych, to ci zostali po-
rzuceni na łaskę nieprzyjaciela, a z nimi kilku dokto-
rów, by mieli o nich pieczę.

IV.

Dorohobuż. — Robactwo. — Markietanka. — Głód.

Dnia 3 listopada zatrzymaliśmy się w Sławkowie i przez cały czas naszego tam pobytu Rosyanie wieszali się koło naszego prawego skrzydła. W tymże dniu pozostałe pułki gwardyi złączyły się z nami.

W dniu 4 forsownym marszem dotarliśmy do Dorohobuża, nazwanego przez nas miastem kapusty, z powodu znalezienia wielkiej jej ilości w chwili, gdyśmy maszerowali do Moskwy. W tymże to mieście cesarz w dniu 25 sierpnia zrobił przegląd armat i broni całej armii, spodziewając się rychło stanowczej bitwy. O godzinie 7 wieczorem byliśmy jeszcze oddaleni od Dorohobuża o dwie mile, a to dla wielkiego śniegu, który nas zatrzymywał w drodze. Błądziłszy nawet czas jakiś i dla tych, co szli za nami, by się nie zgubili, muzyka grała całą noc, aż do chwili, gdyśmy wkroczyli w pierwsze, prawie zupełnie spalone ulice Dorohobuża.

Była już godzina 11, gdy rozłożyliśmy się obozem i gdy ze szczątków spalonych domów roznieśliśmy ogniska, by się ogrzać. Dał się już wtedy

uczuc wielki brak żywności, lecz byliśmy tak strasznie pomęczeni, że sił nie mieliśmy poszukać koni, by je zabić, a następnie zjeść, lecz tylko każdy udał się na spoczynek. Jeden z żołnierzy z korpusu przyniósł mi trochę słomy, na którą, umieściwszy ją koło ogniska, rzuciłem się zaraz z głową opartą na worku, a nogami w popiele.

Spałem już blisko godzinę, gdy obudziły mnie dotkliwe ukłucia na całym ciele. Wyobraźcie sobie moje przerażenie, gdy dotknąwszy się ręką mej twarzy i ciała, uczulem, że pokryty jestem robactwem. Podniosłem się zaraz i w przeciągu dwóch minut zebrałem się do naga i rzuciłem w ogień koszulę i spodnie. Był to jakby podwójny płomień, tak wszystkie te stworzenia wiły się w ogniu, a ja zaś byłem tak zajęty oswobodzeniem się od nich, że nie czulem zimna, choć śnieg padał dużemi płatami. Pozbywszy się o ile mogłem nieproszonych gości, włożyłem mą ostatnią koszulę i spodnie. I wtedy, płacząc prawie z rozpacz, usiadłem na worku z głową ukrytą w dłoniach, owinięty w niedźwiedzią skórę, zdala od przekłetej słomy i tak spędziłem resztę nocy. Tym, co się na niej po mnie położyli, nic się złego nie przytrafiło, widocznie zabrałem wszystkie te stworzenia.

Następnego dnia 5-go listopada wyruszyliśmy rano; przed wymarszem rozdano każdemu korpusowi gwardyi żarna do mielenia zboża na wypadek, gdyby to ostatnie znaleźć się gdzie udało, okazało się jednak, że były zupełnie niepotrzebne, więc zostawiono je na drodze. Dzień ten był bardzo smutnym, zmarło w nim wielu rannych, czyniących dotąd nad-

ludzkie wysiłki, w nadziei, że dostawszy się do Smoleńska, znajdą tam żywność i mieszkanie.

Wieczorem zatrzymaliśmy się w lesie dla przemocowania. Też noc urodził się duży chłopiec matce Dubois, naszej markietance, przy dwudziestostopniowym mrozie. Pułkownik Bodel, dowodzący naszym pułkiem, zrobił wszystko, co mógł, by jej ulżyć, rozkazał nawet przykryć ją swym płaszczem.

Po spędzeniu bardzo przykrew nocy z powodu wielkiego mrozu, wyruszyliśmy w dalszą drogę. Pułkownik oddał swego konia matce Dubois, trzymającej swego nowonarodzonego, owiniętego w kozuch barani, gdy ona przykryta była dwoma płaszczami zmarłych w nocy żołnierzy.

Było to 6 listopada; dnia tego zerwała się tak straszna zadymka, że o kilka kroków nic widać nie było, a mróz zwiększył się do dwudziestu dwóch stopni; usta nasze popękały od mrozu i broczyły krwią, a chwilami zdawało się nam, że i mózg nam zmarznie. Śnieg padał olbrzymimi płatami, nigdy w życiu podobnego nie widziałem, zakrywając sobą nie tylko niebo, ale i tych, co przed nami maszerowali.

Gdy dochodziliśmy do niewielkiej wioski, przybył umyślny posłaniec, dopytujący się o cesarza. Dowiedzieliśmy się później, że był to generał, donoszący o spisku Malet'a, odkrytym w Paryżu.

Miejsce naszego spoczynku leżało tuż koło lasu, a ponieważ droga była bardzo wąską, postanowiliśmy przeczekać, aż wojsko przejdzie. Stojąc tak z towarzyszami i przebierając nogami, by nam nie zmarzły, i rozmawiając o nieszczęściach i głodzie, który nam

dokuczał, uczulem naraz po za sobą zapach gorącego chleba. Odwróciwszy się natychmiast, spostrzegłem jakąś ludzką postać, zawiniętą w długi płaszcz futrzany, od której dochodził mnie ów zapach rozkoszny. Rzekłem do niego:

— Panie, posiadasz chleb, czy zechcesz mi go sprzedać?

Udał, że mnie nie słyszy i chciał odejść, lecz schwyciłem go za ramię. Widząc, że się nie oswobodzi odemnie, wyciągnął z pod płaszcza jeszcze gorący placek, który schwyciłem z chciwością jedną ręką, a drugą podawałem mu sztukę pięcio-frankową. Zaledwie jednak dostał mi się do ręki, gdy moi przyjaciele rzucili się nań jak wściekli i wyrwali wszystko, tak, że został mi zaledwie mały kawałek, który trzymałem w palcach.

Podczas tego chirurg, gdyż ów człowiek z placzką był chirurgiem, uciekł i dobrze zrobił, bo z pewnością byliby go przeszukali, by mu odebrać resztę. Prawdopodobnie dostał się do wsi o wiele wcześniej, niż my i znalazłszy tam trochę mąki, upiekł sobie placki, oczekując naszego przybycia.

Blizko godzinę przebyliśmy przy drodze. Byliśmy świadkami śmierci wielu żołnierzy. Niestety! szeregi nasze przeredzać się już zaczęły, choć byliśmy dopiero w początkach naszych nieszczęść i naszej nędzy.

W chwilach spoczynku rzucaliśmy się zaraz na porzucone trupy końskie na biwakach, zabierano żywe tym, którzy je posiadali jeszcze, krew ciekącą zbierano starannie w kotły, aby ją ugotować, a następnie zjeść. Często zdarzało się i tak, że zmuszeni

byliśmy spożywać wszystko na surowo, bo w chwili, gdy zabierano się do gotowania, rozlegał się rozkaz dalszego wymarszu, lub zbliżali się Rosyanie. W tym ostatnim razie nie zawsze spieszono się bardzo, gdyż bywały i takie wypadki, że gdy część wojska odpierała nieprzyjaciela, druga najspokojniej spożywała dary Boże. Lecz gdy siła wyższa zmusiła opuścić miejsce spoczynku, wyruszano, unosząc kociołek i jedząc po drodze surową jego zawartość. Nic więc dziwnego, że częstokroć byliśmy cali krwią pokryci.

Bywało i tak, że gdyśmy czasu nie mieli na to, by rozewiertować konia, część oddziału chowała się w lesie, jedynie dlatego, by rzucić się następnie na mięso, jak żarłoki. Ci ludzie rzadko kiedy wracali do oddziału, gdyż albo wpadli w ręce nieprzyjaciela, albo stali się pastwą mrozu.

W dniu następnym nie maszerowaliśmy tak długo, jak poprzedniego, bo zatrzymaliśmy się jeszcze podczas dnia na miejscu spalonej wioski, z której pozostały tylko szczątki ścian; koło nich wyżsi oficerowie stanęli biwakiem, by zabezpieczyć się choć z jednej strony od wiatru i mrozu. Niezależnie od strasznego zmęczenia, głód dokuczał nam w niemożliwy sposób. Ci, którzy mieli jeszcze trochę kaszy i ryżu, chowali się, by je zjeść w ukryciu. Nie było już przyjaciół, spoglądano na siebie nieufnie, najbliższym towarzyszom okazywano niewdzięczność. Ja sam postąpiłem z moimi najlepszymi przyjaciółmi niegodnie, o czym zamilczeć nie mogę.

Tegoż dnia, podobnie jak i wszystkich, dręczył mnie głód i robactwo, które obsiadło mnie wczoraj. Nie mieliśmy ani kawaleczka koniny na zaspokojenie

głodu, pocieszaliśmy się tą myślą, że towarzysze, pozostali w tyle, przyniosą nam choć trochę. Z głodu doznawałem tak dziwnego uczucia, że doprawdy trudno je opisać. Obok mnie stał mój przyjaciel, sierżant Poumot, rozglądając się wokoło, czy nie ujrzy czego. Schwyciłem go naraz konwulsyjnie za rękę, mówiąc:

— Przyjacielu, jeżeli spotkam w lesie, wszystko jedno kogo, z chlebem, będzie mi musiał oddać połowę — a po chwili dodałem: — Nie, zabiję go, by mieć wszystko!

Wyrzekłszy to, zerwałem się i ruszyłem dużymi krokami do lasu, jakbym tam rzeczywiście miał spotkać człowieka z chlebem. Jakiś czas szedłem brzegiem lasu i dopiero po kwadransie zawróciłem na lewo; po chwili spostrzegłem ognisko, a przy nim człowieka. Zatrzymałem się, by go obserwować, i zauważyłem, że na ogniu stał kociołek, w którym coś gotował i na moje wielkie zdziwienie, poznałem, że to były kartofle, gdyż trzymał jeden w rękę, by się przekonać, czy jest już ugotowanym.

Chciałem podbiec ku niemu, by mu je wyrywać, lecz w obawie, by mi nie uciekł, okrążyłem go wokoło i stanąłem za nim z tyłu, niezauważony przez niego. Ale nagle trzasła mi gałąź pod nogami. Odwrócił się, lecz ja już byłem przy kotle i rzekłem:

— Towarzyszu! masz kartofle, daj mi je lub sprzedaj, bo w przeciwnym razie zabiorę je gwałtem.

Zdziwiony moim odezwaniem się i tem, że zbliżyłem się z gołą szablą, by mi nie uciekł, odrzekł, że kartofle nie należą do niego, że jest tylko służącym

i że dostał rozkaz, by się skrył w czasie ich gotowania dla jakiegoś polskiego generała, biwakującego niedaleko.

Nie odpowiedziawszy mu nic na to, zbliżyłem się do kotła, chcąc wydobyć ztamtąd kartofle, wtedy wyjął jeden, chcąc mi pokazać, że są jeszcze twarde. Wyrwałem go i pożarłem taki, jaki był.

— Widzisz — powiedział — że są jeszcze niemożliwe do jedzenia, ukryj się za krzakiem i czekaj aż zupełnie będą ugotowane, wtedy ci je dam.

Zrobiłem, co mi powiedział, schowałem się za krzakiem, nie tracąc go jednak z oczu. Po pięciu lub sześciu minutach, myśląc widocznie, że już się oddaliłem, podniósł się i rozglądając się na lewo i prawo, wziął kociołek i zaczął uciekać, ale niedaleko, bo go schwyciłem, grożąc, że jeśli mi nie da połowy, odbiorę mu wszystko. Odpowiedział mi raz jeszcze, że to dla generała.

— Choćby nawet były dla samego cesarza, ja muszę je mieć, bo umieram z głodu! — wykrzyknąłem.

Widząc, że się odemnie inaczej nie odczepi, dał mi siedem kartofli. Zapłaciłem mu za nie 15 fr. i odszedłem. Zawołał mnie jeszcze i dodał mi dwa, ale zupełnie twarde. Zjadłem jeden, a inne włożyłem do ładownicy. Rachowałem, że wystarczą mi na trzy dni, jako dodatek do mięsa końskiego.

Ruszyłem ku obozowi i, myśląc ciągle o kartoflach, pobłądziłem. Z zamyślenia mego wyrwały mnie krzyki pięciu ludzi, bijących się jak psy o kawał martwego konia. Jeden z nich, ujrawszy mnie, zbliżył się mówiąc, że on i jego towarzysze zabili

konia po za lasem i wracając z obozu, do którego zanieśli już część mięsa, zostali napadnięci przez trzech ludzi z innego korpusu, którzy chcieli im je odebrać. Jeżeli im dopomogę, to dadzą mi potem pewną część. Bojąc się jednak o moje kartofle, odpowiedziałem im, że nie mam czasu, ale niech się bronią jeszcze czas jakiś, a przyślę im pomoc.

Niedaleko od tego miejsca spotkałem dwóch ludzi z naszego korpusu, których wysłałem na pomoc tamtym. Dowiedziałem się później, że znaleźli tylko trupa, strasznie pobitego kijem jodłowym, leżącym obok, i pokrytego krwią. Prawdopodobnie trzech nastpniczy skorzystali z chwili, gdy mnie jeden błagał o pomoc, by się pozbyć drugiego.

Po przybyciu do obozu towarzysze moi dopytywali się, czy nie znalazłem czego do jedzenia. Odpowiedziałem, że nie. Następnie przed ogniskiem wykopałem sobie, codziennym obyczajem, postanie w śniegu i położywszy się na skórze niedźwiedziej, przykryłem się płaszczem gronostajowym. Przed zaśnięciem chciałem zjeść kartofel, co też i zrobiłem pod płaszczem, starając się czynić, jak najmniej szmeru, w obawie, by nie spostrzeżono, że jeń cośkolwiek. Skończywszy, zawiąłem się szczelnie i trzymając ładownicę pod pachą, w której były moje zapasy, zasnąłem. Tak postąpiłem z moimi umierającymi z głodu towarzyszami, był to z mej strony wielki egoizm, którego nigdy w życiu przebaczyć sobie nie mogłem.

Słońce jeszcze nie weszło, gdy się obudziłem i usiadłem na worku, przeczuwając, że dzień będzie straszny, bo wichur zaczął dać z niezwykłą siłą.

Zrobiłem dziurę w niedźwiedziej skórze, w ten sposób, że łeb opadał mi na piersi, ja zaś byłem okryty od stóp do głów, gdyż była tak długa, że ogon włócił się po ziemi. O świcie wyruszyliśmy w drogę. Liczba zmarłych i umierających, których zostawialiśmy po drodze, była coraz liczniejszą. Lecz czekały nas gorsze przejścia, bo zmuszeni byliśmy tonąć prawie po kolana w trupach, które korpus gwardyi idący przed nami zostawił. O ileż to było okropniejsze jeszcze dla tych, co szli za nami, bo patrzeli na niedolę tych wszystkich, którzy ich poprzedzali! Na końcu szedł korpus marszałka Ney'a i Davoust'a i armia włoska pod wodzą księcia Eugenia.

Blizko godzinę maszerowaliśmy, a dogońwszy korpus, który szedł przed nami, zatrzymaliśmy się. Matka Dubois chciała skorzystać z tej chwili odpoczynku, by nakarmić swego nowonarodzonego. Naraz wydała przejmujący okrzyk bóleści. Dziecko było martwe i twarde jak drzewo. Ci, którzy byli koło niej, pocieszali ją, mówiąc, że to szczęście tak dla niej, jak i dla dziecka, i nie zważając na jej jęki, wyrwali jej zwłoki, które przyciskała do piersi. Wręczono je saperowi, który oddalił się cokolwiek od drogi z ojcem dziecka. Ten wyrył toporem dół w śniegu, pocałował dziecię i włożył je do dołu, potem zasypano dół i wszystko się skończyło.

O milę dalej, niedaleko dużego lasu, zatrzymaliśmy się na dalszy odpoczynek. Tu stała część artyleryi i kawaleryi, tu leżało mnóstwo zabitych koni i znaczna liczba jeszcze żyjących, lecz zdrewniałych. Te, które były zabite w nocy, były zupeł-

nie zmarznięte. Zauważyłem, że postępowaliśmy ciągle za kawaleryą i nocowaliśmy tam, gdzie ona przedtem, a to dlatego, byśmy się mogli pożywić końmi, które pozostawiła odchodząc.

Podczas, gdy pułk odpoczywał i gdy każdy był zajęty przygotowaniem sobie pośłania, oddaliłem się, jak, prawdziwy egoista w największy bór dla pożarcia kartofli, które miałem ukryte jak najstaranniej w ładownicy. Lecz jakież był mój zawód; nie były to kartofle, ale bryła lodu! Chciałem ugryźć, lecz zęby ześlizgiwały się po nich. Wtedy to żałowałem, że nie podzieliłem się niemi z moimi przyjaciółmi, do których zaraz wróciłem, trzymając je w ręku. Usta miałem zakrwawione od próżnych usiłowań.

Spytali się, co trzymam. Nie mówiąc nic, pokazałem im kartofel, oraz te, które miałem w ładownicy. Wyrwano mi je natychmiast. Omylili się również, jak i ja, chcieli je rozgrzać przy ogniu, lecz roztopiły się, jak lód. Kilku zapytało mnie, gdzie je znalazł. Wskazałem im las, pobiegli tam, lecz wrócili po chwili, donosząc, że nic nie znaleźli. Byli bardzo dobrzy dla mnie, bo ugotowawszy pełen kociołek krwi, zaprosili mnie na nią. Nie dałem się wcale prosić. Do dziś wyrzucam sobie, że tak niecznie postąpiłem, a oni myśleli, że znalazłem je rzeczywiście w lesie. Nie wyprowadziłem ich też nigdy z tego błędu. Wszystkie te przejścia były to zaledwie próby tego, co nas jeszcze spotkać miało.

Po godzinnym spoczynku wyruszono w dalszą drogę, w czasie której w odstępach spotykaliśmy kilką żydowskich domów. Niekiedy domy te były tak

wielkie, jak nasze spichlerze, budowane z drzewa. Wielka brama znajdowała się przed każdym i służyła za wjazd wozów. Znajdowały się w odstępach trzech-milowych, lecz większa część była spaloną w czasie naszego pierwszego przejścia.

V.

**Pożar. — Dramat rodzinny. — Marszałek Mortier. —
Dwadzieścia siedem stopni mrozu. — Przybycie do
Smoleńska. — Jaskinia łotrów.**

Zbliżając się po wyjściu z lasu do Gary, biednej bardzo wioski, składającej się tylko z kilku chat, spostrzegłem w niejakiej odległości jeden z przystanków pocztowych, o jakich już wspominałem. Zwróciłem na niego uwagę sierżanta pułku, Alzaczyka, nazwiskiem Mather, któremu zaproponowałem przepędzenie tam nocy, bylebyśmy tylko mogli dojść pierwsi i zająć dla siebie miejsca. Zaczęliśmy biedz ku niemu, lecz był już tak napełniony wyższymi oficerami, żołnierzami i końmi, że o wolnem dla nas miejscu nawet myśleć nie można było, gdyż znajdowało się tam blisko osiemset osób.

Niezdługo nadeszła kolumna cesarska i nasz pułk. Postanowiliśmy się przespać pod brzuchami koni, przywiązanych do bramy. Ci, którzy biwakowali dokola poczty, chcieli wyrwać bramę, by ją spalić, a także, by dostać słomy, której mnóstwo

było w okolicznych budynkach, w których znajdowały się także i drwa suche.

Na słomie tej przespali się i rozpalili ogniska, przy których rozgrzali się i piekli koninę. Nie chcąc jednakże całkiem zniszczyć budynku, wyrwali tylko podłogę, a kilku weszło na dach z tą samą myślą, lecz zmuszono ich strzelbami, by z niego zeszli.

Mogła być godzina 11 w nocy. Część nieszczęśliwych, śpiących w budynku, grzała swe członki przy ogniskach. Wtem dał się słyszeć jakiś podejrzany szmer. Ogień wybuchnął w spichlerzu w dwóch miejscach, naprzeciw bramy, obok której spaliśmy. Chciano się tędy wydostać, lecz konie, przywiązane z drugiej strony do bramy, zaczęły tak strasznie wierzgać, że było niemożliwym wydobyć się tą stroną, jak również i przez drugą bramę, gdyż odwrót zamknęły płomienie i dym.

Zrobiło się straszne zamieszanie, rzucono się całą masą do bramy, przy której spaliśmy, i tym sposobem zwiększono trudność jej otworzenia. Z obawy, by się kto nie dostał do wnętrza, zastawiono ową bramę bardzo mocno drągami. W przeciągu dwóch minut wszystko stanęło w płomieniach, a ogień, który zajął najpierw trochę słomy, dostał się następnie do drzewa i zaczął szaleć z niepohamowaną siłą. Bramy, pomimo wysiłków, nie otworzono i wtedy to byliśmy świadkami wstrząsającego obrazu, którego opisać nie jestem w stanie. Nieszczęśliwi, pożerani przez płomienie, wydawali jęki i wycia przerażliwe, wchodzili jeden na drugiego, by uciec przez dach, w którym wybili otwór, ale przeciąg powietrza zwiększał tylko siłę ognia. Niektórzy na wpeł spa-

leni, zdolali się przez te otwory wydostać na wierzch, ale olbrzymie płomienie spychały ich znów w otchłań pożaru.

Słychać było tylko okrzyki wściekłości; ogień przelewał się jakby żyjąca istota wskutek konwulsyjnych szamotań się tych nieszczęśliwych. Był to prawdziwy obraz piekła.

Ze strony, w której myśmy się znajdowali, uratowaliśmy siedmiu ludzi przez dziurę, która utworzyła się przy wyrwaniu podłogi. Pierwszy, który się wydostał tą drogą, był to oficer z naszego pułku, miał ręce zupełnie spalone, a ubranie porozdzierane; sześciu innych było jeszcze bardziej poparzonych. Nie mogliśmy uratować więcej. Kilku wydostało się na dach nawpół spalonych, błagając, by ich dobić. Tych, którzy później chcieli wydostać się przez ową dziurę, nie mogliśmy już wyciągnąć, bo kładli się wpoprzek, na pół zduszeni przez dym. Zginęli razem z tyłu innymi.

Przy blasku tego pożaru pojedynczy żołnierze rozmaitych korpusów, którzy spoczywali koło spichlerza, umierający z głodu i zimna koło ognisk prawie już wygasłych, podbiegli ku palącemu się domowi, jednakże nie w celu niesienia pomocy, która zresztą i tak była już niemożliwą, lecz w celu ogrzania się i upieczenia kawałka koniny na końcu szabli lub bagneta. Zdawałoby się, że katastrofa w spichlerzu była zrzędzeniem Boskiem, bo powszechnie mówiono, że wszyscy ci, którzy się tam schronili, byli bogaczami, bo najwięcej z Moskwy powywozili brylantów, złota i srebra. Kilku żołnierzy, gdy ogień cokolwiek ucichł, złączyło się razem dla wydobycia

trupów z pogorzeliśka, nie zważając na to, że mogli się upiec żywcem, w nadziei, że znajdą coś, co im się przyda. Inni mówili:

— Dobrze im tak, gdyby pozwolili byli nam zerwać dach, nieszczęście nie byłoby ich spotkało.

Inni znów, wyciągając ręce ku ogniu, jakby nie wiedząc, że wielu ich towarzyszków, a może nawet i krewnych znalazło tam śmierć, wołało:

— Jaki doskonały ogień!

Drżeli oni nie z zimna i zgrozy, ale z zadowolenia.

Wczesnym rankiem udałem się z moim towarzyszem w drogę, aby dogonić pułk.

Maszerowaliśmy, nie mówiąc nic do siebie, przy mrozie większym, niż dnia poprzedniego, po stosach trupów i umierających, rozmyślając nad tem, cośmy widzieli, gdy natrafiliśmy na dwóch żołnierzy, pożerających kawałek surowego końskiego mięsa. Tłómaczyli się tem, że gdyby nie zjedli, to zanimby dostali się do ogniska, zmarzłoby im i nie było możliwem do jedzenia. Zapewniali nas, że widzieli Kroatów, należących do naszej armii, jak wyciągali ze spichlerza upieczone trupy i pożerali je. Przypuszczam, że podobne fakty nieraz się przytrafiały w tej nieszczęśliwej kampanii, ale sam nigdy nic podobnego nie widziałem. Lecz w jakim-że celu ci ludzie prawie umierający mieliby kłamać? A zresztą ja sam, gdyby mi zabrakło koniny, z pewnością pożerałbym ludzi, bo trzeba doświadczyć głodu, aby zrozumieć, do czego człowiek w takim stanie jest zdolny. Zjadłoby się i samego dyabła, gdyby był ugotowany.

Od samego wymarszu z Moskwy można było zauważyć ciągnący po za kolumną gwardyi, piękny powóz rosyjski, zaprzężony w cztery konie, ale od dwóch dni widać było tylko dwa, tamte zostały zapewne zabite, albo skradzione dla pożarcia, lub też padły w drodze. W tym powozie jechała dama, jeszcze młoda, prawdopodobnie wdowa, z dwiema córkami w wieku lat piętnastu i siedemnastu. Ta rodzina, pochodzenia francuskiego, zamieszkała w Moskwie, namówiona przez jednego z wyższych oficerów gwardyi, postanowiła wrócić do Francyi.

Prawdopodobnie miał on zamiar zaślubienia starszej damy, gdyż sam był już niemłodym. Nieszczęsna ta rodzina wystawiona była, jak i my na zimno straszliwe i na wszystkie okropności naszej nędzy, a o ileż silniej odczuwać to musiała!

Świtało już, gdyśmy stanęli na miejscu, w którym spoczywał nasz korpus. Zaczynano się tam już poruszać! Od dwóch dni widocznem było, że pułk nasz zmniejszył się o trzecią część i że wielu lada chwila padnie. Po za nami ciągnęły wozy, a między nimi spostrzegłem znów powóz z nieszczęśliwą rodziną. Wyjeżdżał on właśnie z niewielkiego lasku, otoczony kilku saperami, z oficerem na czele, widocznie mocno wzruszonym, który rozkazał im zatrzymać się obok miejsca, w którym ja stałem. Wtedy to usłyszałem wychodzące z głębi powozu jęki i płacz. Oficer wszedł do środka, lecz po chwili się ukazał i polecił saperom wynieść trupa jednej z młodych dziewcząt. Była ona ubrana w suknię z popielatego jedwabiu i pelerynę, podbitą gronostajami. Była piękną, choć wychudzoną. Pomimo naszej obojętno-

ci na sceny tragiczne, na widok ten byłem wzruszony do łez, szczególnie, gdy ujrzałem płaczącego oficera.

W chwili, gdy saperzy wynosili zwłoki młodej dziewczyny, aby je umieścić w powózce, przez ciekawość zajrzałem do wnętrza powozu i ujrzałem tam matkę i córkę, płaczące w swych objęciach. Zdawało mi się, że utraciły zupełnie świadomość wszystkiego i rzeczywiście, tegoż dnia jeszcze wieczorem przestały cierpieć. Pogrzebane zostały wszystkie trzy razem niedaleko od Wałutyna. Muszę jeszcze dodać, że oficer trapiiony wyrzutami sumienia, iż stał się powodem ich zguby, szukał śmierci na polu bitwy, jaką stoczyliśmy pod Krasnem i w innych miejscach, a w kilka dni po przybyciu naszym do Elbląga umarł ze zmartwienia.

Dzień 8 listopada był dla nas bardzo przykry, gdyż późno dotarliśmy do miejsca spoczynku, a ponieważ już nazajutrz mieliśmy dojść do Smoleńska, w którym spodziewaliśmy się znaleźć wytchnienie i żywność, wielu z nas czyniło nadludzkie wysiłki, byleby tylko nie zostać w tyle i pewnej śmierci nie znaleźć.

Aby dostać się na miejsce, przeznaczone na obóz, trzeba było przebyć dość duże urwisko i wdrzeć się na drugą stronę. Kilku artylerzystów gwardyi zatrzymało się nad niem, nie mogąc wciągnąć armat na górę. Towarzyszyło im kilku kanonierów gwardyi pruskiej, którzy razem z nami byli w tej kampanii. Nasz pułk razem ze strzelcami gwardyi umieścił się po prawej stronie drogi, zdaje mi się, że

na wzgórzach Walutyna, gdzie dzielny generał Gu-
din poległ d. 19 sierpnia.

Przeznaczono mnie na wartę przy marszałku
Mortier, który stał w stodole bez dachu. Zasłonięto
ją, jak można było, od mrozu i śniegu. Nasz puł-
kownik i major pomieścili się tam także. Obok roz-
palono ognisko, przy którym grzaliśmy się wszyscy.
Zaledwie każdy usadowił się jako tako, zjawiała się
jakaś postać z głową zawiniętą w chustkę, z rękami
w gałganach i w ubraniu na wpół spalonym i po-
deszła do pułkownika z okrzykiem:

— Ach pułkowniku, jaki ja nieszczęśliwy, jak
strasznie cierpię!

Pułkownik, nie mogąc go poznać, spytał, co on
za jeden, z kąd wraca i co mu jest?

— Ach! — odpowiedział — wszystko straciłem
i strasznie jestem poparzony.

Pułkownik rozpoznawszy go, odrzekł:

— Tem gorzej, nie trzymałeś się pułku, od kil-
kunastu dni wcale się nie pokazywałeś, cóżeś robił
ty, coś powinien służyć jako przykład dla innych
i umierać jak i my, na stanowisku! Coś robił, czy
słyszysz?

Ale nieszczęsny nie słyszał, boć i chwila nie
była stosowną do prawienia moralów. Był to ten
sam oficer, któregośmy wyratowali w czasie pożaru
spichlerza, a który podobno bardzo dużo wywiózł
prawem zwycięzcy drogocennych przedmiotów i zło-
ta z Moskwy. Teraz wszystko stracił, bo i koń
i pakunek gdzieś mu przepadł. Marszałek i pułko-
wnik tymczasem zaczęli rozmawiać o wypadku w sto-
dole, przypuszczając, że bardzo dużo wyższych ofi-

cerów śmierć wtedy poniosło razem ze swymi służącymi, a ponieważ wiadano, że byłem świadkiem tej katastrofy, rozpytywano mnie o szczegóły, gdyż wyratowany oficer nie mógł nic mówić, zanadto był zgnębiony.

Mogła być godzina dziesiąta, a noc zapowiadała się jak najgorzej. Nasza garstka, a także i ostatki naszej nieszczęśliwej armii, szykowała się do snu, przerywanego mrozem, cierpieniami głodu i zmęczeniem, około ogniska, co chwila gasnącego, myśląc o jutrze, które doprowadzić nas miało do Smoleńska, gdzie nędza i niedola nasza miała się zakończyć, bo mieliśmy tam znaleźć dach nad głową i żywności pod dostatkiem.

Posilek mój składał się z kawałka końskiej wątroby, a za napój służył mi śnieg. Marszałek zjadł jej także kawałek, ale zagryzając sucharami i popijając wódką; był to posilek bardzo skromny, jak na marszałka Francyi, ale i to znaczyło wiele w tych smutnych okolicznościach, w jakich byliśmy.

Marszałek, spostrzegłszy żołnierza, stojącego na warcie u drzwi stodoły, rozkazał mu iść do ognia, mówiąc, że straż taka dziś niepotrzebna, bo mróz i nędza i tak wejdą, aby schwycić wszystkich w swe objęcia. W chwil kilka potem zasnął, zwinawszy się w płaszcz i podłożywszy sobie worek pod głowę.

Uczyniłem to samo na mej niedźwiedziej skórze i już zasypiałem, gdy rozległ się naraz nadzwyczajny szum. Był to wicher północny, który niósł ze sobą z po za lasów śnieg i mróz dwudziestosiedmio-

stopniowy, tak straszny, że nie sposób było pozostać w miejscu. Słychać było rozpaczliwe krzyki ludzi, kierujących się w stronę ognia, lecz pochwyceni tumanami śniegu, bładzili lub padali na ziemię, aby nie powstać więcej. Kilkuset zginęło w ten sposób, a tysiące zmarło na miejscu. My byliśmy szczęśliwi, że jako tako choć z jednej strony zasłaniała nas stodoła. Do nas przyłączyło się jeszcze kilkadziesiąt ludzi i tym sposobem uniknęli śmierci.

Muszę przytoczyć rys poświęcenia, jaki się zdarzył w tę noc przekłętą, w której zdawało się, że wszystkie siły piekła sprzysięgły się na naszą zgubę.

Emil, książę hesko-kasselski, stanowił ze swoim oddziałem kontyngens armii, składający się zaledwie z kilku pułków piechoty i kawalerii. Książę stał obozem po lewej stronie drogi z niedobitkami swych nieszczęsnych żołnierzy, w liczbie od pięciuset do sześciuset ludzi, pomiędzy którymi było jeszcze około stu pięćdziesięciu dragonów, prawie bez koni, które padły lub zostały zjedzone. Ci dzielni żołnierze, umierający z zimna i ledwie mogący utrzymać się na nogach w tę straszłą noc, poświęcili się, aby ocalić swego młodego księcia, liczącego lat dwadzieścia, i otoczyli go kołem, aby tym sposobem zasłonić od wichru, stali dzielnie noc całą, przytuleni jeden do drugiego. Nazajutrz rano znaleziono ich prawie wszystkich zmarłych. Ogółem padło owej nocy około 10,000 ludzi.

Wczesnym rankiem następnego dnia udałem się z marszałkiem Mortier do obozu artylerii nad brzegiem urwiska, lecz ani jeden z nich przy życiu nie pozostał; ludzie, konie, wszystko spało snem wie-

cznym i pokryte było śniegiem; ludzie siedzieli przy zagasłych ogniskach, a konie, zaprzężone jeszcze do armat, które trzeba było pozostawić na miejscu. Prawie zawsze bywała po wielkim mrozie pogoda trochę znośniejsza, zdawało się, jakby natura, dokuczysz do żywego, pozwalała nam odetchnąć i nabrać nowych sił, aby później dokuczyć nam jeszcze mocniej.

Wszyscy żyjący ruszyli w drogę. Z obu jej stron wychodzili na wpół żywi ludzie z nędznych szałasów, inni, ledwie powłócząc nogami, ukazywali się z lasu, gdzie znaleźli jakie takie schronienie i śpieszyli ku nam. Zatrzymaliśmy się na chwilę, aby poczekać na nich. Wtedy to rozmawiałem z kilku towarzyszami o naszej niedoli i o trudnej do uwierzenia liczbie tych, którzy zginęli tej nocy. Rzuciliśmy wzrokiem po tej ziemi nieszczęścia. Tu i owdzie stały kozły z bronią, ale nie było nikogo, aby je zabrać.

Zebrawszy jak można było najwięcej ludzi, z których kilku niosło jeszcze orły pułkowe, ruszyliśmy naprzód. Nasz pułk tworzył straż tylną, co było dla nas nad wyraz przykrem, ze względu na wielką ilość ludzi, nie mogących iść dalej, a których zmuszeni byliśmy brać pod rękę i tak wlec z sobą aż do Smoleńska.

Aby się dostać do miasta, trzeba było przebyć niewielki lasek, w którym natknęliśmy się na naszą artylerię. Konie ledwie dyszały, armaty i powózki były obciążone umierającymi. W ten sposób wieziono od kilku dni jednego z mych przyjaciół młodości, niejakiego Ficq'a, a chcąc się z nim zobaczyć, wy-

pytywałem się o niego strzelców gwardyi, którzy mi powiedzieli, że umarł przed kilku minutami, a ponieważ droga w tem miejscu była bardzo wąską i zapadła, pozostawiono go na niej, nie mogąc odrzucić na bok, tak, że po jego trupie przeszła cała artylerya, jak i po tyłu innych.

Ruszyliśmy dalej po wąskiej leśnej drożynie. Odłączyłem się od korpusu z sierżantem naszego pułku i ruszyliśmy naprzód, wkrótce jednakże przeciął nam drogę jakiś uśpiony artylerzysta gwardyi. Obok niego klęczał na ziemi jego towarzysz i ściągał z niego ubranie.

Na ten widok sądziliśmy, że leżący jest nieżywym, lecz ponieważ poruszał od czasu do czasu nogą i chwycił się ziemi, towarzysz mój, nic nie mówiąc, wymierzył potężny cios nędznikowi, który się na to powitanie żwawo obrócił. Nie dając mu czasu na odpowiedź, zaczęliśmy mu robić gwałtowne wymówki za jego barbarzyński postępek. Tłómaczył się tem, że jeżeli nie jest zmarłym, to nim wkrótce będzie, bo inaczej nie pozostawiliby go na tej ścieżce, że nie daje znaku życia, i że to był jego serdeczny towarzysz, że więc lepiej, iż on zabierze po nim suknie, niż kto inny.

To, co tu przytoczyłem, zdarzało się bardzo często, a szczególnie z tymi, u których domyślano się, że mają pieniądze. Trzymano się ich nie dlatego, aby im nieść pomoc, lecz aby przy sposobności postąpić tak samo, jak ów artylerzysta.

Przez wzgląd na rodzaj ludzki, może nie powinienem opisywać tych scen wstrętnych, ale postano-

wilem sobie odmalować to wszystko, czego byłem świadkiem.

Trzeba zwrócić i na to uwagę, że jeżeli w tej kampanii zdarzały się czyny nikczemne, to były także i czyny podniosłe, zaszczyt nam przynoszące. Widziałem, na przykład, żołnierzy, niosących przez kilka dni na swych barkach rannego oficera.

Wyszedszy z lasu, spotkaliśmy setkę ułanów, doskonale wyglądających i ubranych bardzo czysto, którzy byli wysłani ze Smoleńska na nasze spotkanie, a którego nie opuścili ani na chwilę. Zdumienie ich było wielkie na widok naszej niedoli, my zaś dziwiliśmy się bardzo, że wyglądają tak dobrze. Wielu żołnierzy podbiegło ku nim, błagając jak żebracy o kawałek chleba lub suchara.

Po za lasem zatrzymaliśmy się chwilę, oczekując rannych. Okropniejszego widoku nad widok tych biedaków, trudno sobie wyobrazić, gdyż cokolwiek im mówiono o żywności i schronieniu, nic nie mogli pojąć; były to ludzkie maszyny, maszerujące gdzie ich prowadzono, zatrzymujące się, gdy im kazano. Silniejsi nieśli na barkach swe worki i broń, gdyż ci nieszczęśliwi nietylko, że stracili nawpół rozum, ale potracili palce u rąk i nóg.

W ten sposób doszliśmy do Dniepru. po drugiej stronie którego ujrzeliśmy tysiące ludzi, którzy też przedostali się po lodzie na przeciwny brzeg. Była to mieszanina wszelkich korpusów, piechota i kawaleria; biegli oni o ile sił starczyło, gdyż ujrzeli kilka wiosek i cieszyli się, że znajdą tam żywność i przepędzą noc pod dachem. Po godzinnym, mozolnym marszu przybyliśmy już wieczorem nad brzegi

fatalnego Dniepru i na pół nieżywi z głodu i chłodu, stanęliśmy pod murami miasta.

Setki żołnierzy oczekiwały u bram miasta, by ich wpuszczono, lecz wstrzymano ich w obawie, by ci zgłodnieli, idący bez wodza i porządku, nie rzucili się na magazyny i nie zabrali tej niewielkiej ilości żywności, jaka tam była, a którą chciano rozdzielić w możliwym porządku. Kilkuset ludzi już nie żyło.

Wkrótce stanęliśmy u bram, a z nami i inne korpusy gwardyi; maszerując w możliwym porządku i bardzo ostrożnie, by nasi ranni mogli dojść do otworu bramy, weszliśmy nareszcie. Większość rozbiegła się zaraz w nieładzie, by znaleźć sobie dach nad głową, pod którym mogliby zjeść spokojnie tę trochę żywności, jaką nam obiecano.

Dla zaprowadzenia trochę porządku, ogłoszono, że żołnierze odosobnieni od swoich pułków, nie otrzymają nic. Od tej chwili zaczęto na gwałt łączyć się w oddziały, wybierać wodzów, gdyż wiele pułków nie istniało już wcale. Z wielkim trudem posuwaliśmy się przez miasto, bo choć byliśmy tak bardzo zmęczeni, trzeba było przebyć wzgórze całkiem lodem pokryte, na którym wielu z naszych towarzyszków przewracało się i trzeba było ich podnosić, a nieraz nawet słabszych nieść.

Dostawszy się nareszcie do przedmieścia, spalonego w czasie bombardowania w d. 15 sierpnia, pomieściliśmy się, jak kto mógł, po domostwach ocalałych od ognia, oddając chorym i rannym najlepsze miejsca. Między nimi znajdował się mój przyjaciel, bardzo ciężko chory, a któregośmy przyciągnęli w nadziei, że znajdziemy tu szpital, gdzie

miałby potrzebną pomoc. Dotąd odwagę naszą podtrzymywała myśl, że w Smoleńsku zatrzymamy się do wiosny; ale stało się inaczej. Pobyt nasz zresztą w tem mieście był niemożliwym dla braku domów i żywności. Większa część miasta była w gruzach i popiołach, pozostały tylko resztki kamiennych domów. Był to bardzo smutny widok.

Zapuszczając się w miasto w czasie nocy było bardzo niebezpiecznie z powodu piwnic poprzykrywanych śniegiem, a które stanowiły pułapkę i kto w nie wpadł, światła Bożego nie oglądał. Nazajutrz ztamtąd dobywano zmarzłe trupy, lecz nie dlatego, by im sprawić pogrzeb, ale by ich obdrzeć. Takież sam los spotykał tych wszystkich, co ginęli po drodze, a ci, co obdzierali, nie myśleli o tem, że za kilka godzin może ich podobny los spotkać.

W godzinę po przybyciu otrzymał każdy z nas porcyę mąki i nieco sucharów. Było to i tak więcej niż się spodziewaliśmy. Gotowano sobie z tego zupę, lub pieczono placki, pozerając je nawpół surowe. To też chciwość, z jaką je spożywali stała się zgubną, bo wielu się pochorowało. Co do mnie, choć zupy nie jadłem od 1-go listopada i choć była ona gęsta, jak błoto, nic mi nie było, bo byłem jeszcze zdrów.

Wielu chorych i rannych poumieralo w Smoleńsku, a ponieważ zajmowali najlepsze miejsca z tych, jakie nam przeznaczono, postarano się wynieść ich zaraz, by zająć ich miejsca.

Nie zważając na mróz i śnieg, postanowiłem, odpocząwszy trochę, odszukać jednego z mych przyjaciół, Grangier'a, z którym łączyły mnie najserde-

czniejsze stosunki i z którym nie rozstawaliśmy się od lat siedmiu. Nie widziałem go od Wiaźmy, ponieważ był z niej wysłany naprzód z oddziałem eskortującym jaszczyk, należący do marszałka Bessiéres. Zapewniano mnie, że przebywa w Smoleńsku od dwóch dni i że mieszka na jednym z przedmieść. Chęć zobaczenia go i nadzieja otrzymania od niego dobrego posiłku i wygodnego mieszkania, które zapewne zdobył sobie przed naszym przybyciem, popchnęły mnie do wyszukania go.

Nic nie mówiąc nikomu, wziąłem broń i mantelzak i ruszyłem tą drogą, którą przyszliśmy. Przewróciwszy się kilkakrotnie na ślizkiej drodze, dotarłem do bramy, którą weszliśmy do miasta, i przy której zatrzymałem się chwilę, by spojrzeć, w jakim stanie byli ci, których zostawiliśmy przy niej. Byli to Badeńczycy, stanowiący część korpusu. Lecz jakież było moje przerażenie, gdy ujrzałem ich wszystkich tylko w spodniach, bo resztę ubrania ściągnięto z nich. Badeńczycy objaśnili mnie, że tego niecznego czynu dopuścili się żołnierze pułku, którzy widząc tych biedaków leżących i bezbronnych, ograbili ich i odeszli w stronę miasta.

Nadciągnęło jeszcze przy mnie kilkunastu żołnierzy z różnych pułków. Jedni szli z trudem, wsparci na broni, inni na drugim brzegu Dniepru, nic nie widząc wpadali w śnieg, i płacząc a krzycząc, błagali o ratunek. Ale ci, którzy stali koło nich, byli to Niemcy, nie rozumiejący lub nie chcący zrozumieć ich rozpaczliwego wołania. Wiedząc, że jeden z oficerów mówi po francusku, zbliżyłem się do niego i błagałem go w imię ludzkości, by wysłał po-

moc tym nieszczęśliwym. Odpowiedział mi na to, że od chwili naszego przybycia żołnierze jego tylko tem są zajęci, że już niema więcej ludzi, bo pułk jego składa się po większej części z chorych i rannych.

Na moje prośby wysłał jeszcze trzech, którzy wrócili za chwilę, wiodąc z sobą starego strzelca gwardyi, i podtrzymując go pod ramiona. Donieśli nam także, że znajduje się tam jeszcze wielu rannych, których trzebaby także przynieść, lecz nie mogąc ich zabrać, ułożyli ich koło ognisk, dopóki nie będą mogli podać im pomocy. Stary strzelec miał ręce i nogi odmrożone, obwinięte w kawałek kożucha. Broda jego, faworyty i wąsy pokryte były lodem. Usiadł przy ogniu i zaczął zaraz przeklinać cesarza, kraj cały i Boga przyjaznego Rosyanom. Następnie zapytał się, czy nie rozdano wódki. Odpowiedziałem mu, że dotąd nie i że prawdopodobnie nie dadzą jej wcale.

— Ha! więc trzeba umrzeć—odrzekł na to.

Młody niemiecki oficer nie mógł wytrzymać dłużej, widząc cierpienia starego wojaka, ściągnął swój płaszcz i wydobyl butelkę wódki z kieszeni i dał mu ją.

— Dziękuję — rzekł tenże — oddaliłeś odemnie śmierć, jeżeli trafi się okazyja, ocalę ci życie z narażeniem własnego, możesz być pewnym, że nie zawaham się i chwili. Pamiętaj o Rolandzie, strzelcu starej gwardyi cesarskiej, pozbawionym konia, a właściwie i nóg. Przed kilku dniami za-

strzeliłem konia i wykrajałem zeń kawałek mięsa, które teraz zjem.

Mówiąc te słowa, wyciągnął kawał koniny, na którą zaprosił oficera i mnie. Oficer dał mu całą butelkę wódki, za którą stary strzelec nie wiedział, jak mu wyrazić swą wdzięczność. Powtarzał mu, by zawsze o nim pamiętał, czy to w obozie, czy na wojnie i zakończył temi słowy:

— Dobrze dzieci nie giną, nigdy! ale — dodał zaraz, czując, że niechcący powiedział wielkie głupstwo, gdyż od kilkunastu dni ginie mnóstwo ludzi więcej wartych od niego, choć był w Egipcie, trzeba mieć nadzieję, bo niedoła nasza zbliża się do końca, i mówią, że zatrzymamy się do wiosny, by zwyciężyć nieprzyjaciół.

Biedny starzec, któremu kilka kropli wódki rozwiązało język, nie przypuszczał, że były to zaledwie początki naszej niedoli.

Była już godzina 11-sta, lecz nadzieja spotkania Grangier'a nie opuściła mnie nawet w nocy. Oficer wskazał mi miejsce, w którym marszałek Bessiéres stanął kwaterą, ale źle mnie poinformował, czy też źle zrozumiałem, szedłem jedną ulicą po drugiej, aż znalazłem się nad brzegiem Dniepru na placu, na którym domy zniszczone były i spalone w czasie bombardowania. Gdziekolwiek tylko sterczały gruzy i mury wpośród śniegu.

Droga, którą szedłem, była tak zła, że zacząłem żalować, iż przy takim zmęczeniu puściłem się sam jeden. Postanowiłem już zawrócić i na jutro odłożyć poszukiwania, ale w tejże chwili usłyszałem, że ktoś idzie za mną i obróciwszy się, ujrzałem żołnierza badeńskiego, niosącego na ramieniu coś po-

dobnego do baryłki z wódką. Zawolałem na niego, lecz mi nie odpowiedział, chciałem iść za nim, przyspieszył kroku, ja zrobiłem to samo. Tymczasem ten zaczął schodzić bardzo szybko z niedużej pochyłości, chciałem zrobić to samo, lecz przewróciłem się i potoczywszy się, upadłem przy drzwiach jakiejś piwnicy, które otworzyłem stopami jednocześnie z tamtym jegomościem.

Nie zdałem sobie nawet jeszcze sprawy z tego, co mu się przytrafiło, gdy powitano mnie okrzykami w rozmaitych językach. Około dwunastu ludzi leżało rozciągniętych na słomie wokół ogniska. Byli to Francuzi, Niemcy i Włosi, w których rozpoznałem łotrów i złodziei, maszerujących zawsze przed armią i zajmujących najlepsze domy lub też oddalone miejsca. W czasie nocy wychodzili ze swych kryjówek, szperali około obozu, kradnąc konie, tornistry oficerów i udawali się ze świtem w dalszą drogę, na kilka godzin przed armią. Była to jedna z takich band, a było ich bardzo dużo. Potworzyły się one w pierwszych dniach mrozów i zwiększały naszą niedolę. Te bandy mnożyły się z każdym dniem.

Gdy tak leżałem u progu izby, podniosła się jakaś wysoka postać w głębi piwnicy i zapaliła słomę dla przypatrzenia mi się lepiej, gdyż wskutek mojej skóry niedźwiedziej, okrywającej mnie od stóp do głów, trudno było rozpoznać, do jakiego pułku należą. Ale gdy zobaczył orła cesarskiego na moim kaszkiecie, zawołał z miną drwiącą:

— To z gwardyi cesarskiej, za drzwi go!

Inni powtórzyli:

— Za drzwi, za drzwi!

Odurzony, lecz nie onieśmielony ich krzykiem, podniosłem się z prośbą, by mi pozwolili pozostać do rana, gdy los, a może me szczęście, przywiodło mnie do nich. Ale postać, która podniosła się pierwsza i która zdawała się być dowódcą bandy, rzekła, że powinienem wyjść i wszyscy powtarzali za nim: „za drzwi, za drzwi!“ Jakiś Niemiec zbliżył się, by mnie wyrzucić za drzwi, lecz przewróciłem go na ziemię i wyciągnąłem szablę, bo karabin zgubiłem, staczając się z góry. Ktoś mi przyklasnął, mówiąc, że Niemiec nie powinien podnosić ręki na Francuza.

Ja zaś stanowczo odezwałem się, że postanowiłem doczekać tu do rana i że raczej niech mnie zabiją, niż żebym miał zamrzeć z głodu i chłodu. Jedna z dwóch kobiet, znajdujących się tam, chciała się wstawić za mną, lecz rozkazano jej milczeć, a rozkazowi temu towarzyszyły przekleństwa i straszne wymysły. Wtedy dowódca raz jeszcze zwrócił się do mnie, bym go usłuchał, jeżeli nie chcę, ażeby mnie wyrzucono, i że należy, ażebym się znajdował przy swym pułku. Zapytałem go, dlaczego oni to nie trzymają się swych pułków, a on mi na to, że to do mnie nie należy, że niema obowiązku zdawać mi rachunku, że jest u siebie, a zostać u nich nie mogę, dlatego, że przeszkodziłbym im w wyprawie na miasto. Prosiłem go wtedy, jak o łaskę, aby mi chociaż chwil kilka pozwolono zostać przy ognisku dla rozgrzania się. Nikt nic na to nie odrzekł, ponowiłem więc moją prośbę, na którą dostałem przyzwalającą odpowiedź, z warunkiem, że wyjdę za pół godziny.

Usiadłszy przy ognisku, zwróciłem się do nich

z zapytaniem, czy nie mają do sprzedania trochę żywności, a szczególnie wódki:

— Gdybyśmy ją mieli, tobyśmy zachowali dla siebie—odpowiedziano mi.

Tymczasem baryłka, którą przyniósł Badeńczyk, nie mogła być niczem innym. Z mowy jego wywnioskowałem, że ukradł ją u markietanki swego pułku i że niedawno przyłączył się do bandy w celu rabunku.

Pilnujący mnie po tajemniczej naradzie z towarzyszami spytał się mnie, czy mam przy sobie pieniądze na kupno wódki. Kobieta, siedząca przy mnie, a która już raz mnie broniła, schyliła się na ziemię, jakby coś szukała i zbliżając się ku mnie, powiedziała pocichu:

— Ratuś się, wierz mi, że cię zabiją. Idę z nimi od Wiaźmy mimo mej woli. Wracaj tu nazajutrz i ocal mnie.

Zapytałem się jej, kto jest ta druga kobieta, odpowiedziała mi, że to żydówka. Chciałem jej zadać jeszcze kilka pytań, gdy głos wychodzący z głębi kazał jej milczeć i zapytał się, co do mnie mówiła? Odpowiedziała, że objaśniała mnie, gdzie mógłbym znaleźć wódkę, a mianowicie u jakiegoś żyda, który mieszkał na Nowym Rynku,

— Milcz, ty plotkarko!—odpowiedziano jej.

Umilkła i oddaliła się w kąć piwnicy.

Przekonałem się teraz, że moje domysły były trafne i że rzeczywiście wpadłem do jaskini łotrów. Dlatego to, nie czekając już na rozkaz wyjścia, wstałem, zbliżyłem się do drzwi, otworzyłem je i wyskoczyłem. Wołano mnie i zapewniano, że mogę

pozostać do jutra. Ale nie odpowiadając im wcale, wyszedłem i podniósłszy strzelbę, leżącą tuż koło drzwi, szukać zacząłem drogi, aby się wydostać z tego wgłębienia, lecz nie mogłem jej znaleźć. Bojąc się, abym nie został długo w tem położeniu, chciałem wrócić i prosić o wskazanie mi drogi, gdy wyszedł Badeńczyk, prawdopodobnie dla przekonania się, czy czas na wyprawę. Spytał się, czy chcę wrócić, odpowiedziałem, że nie i prosiłem, aby mi wskazał drogę na przedmieście. Dał mi znak, abym szedł za nim, i przeszedłszy koło kilku zrujnowanych domów, wszedł po wązkich schodach na miejsce, z którego się stoczyłem. Zrobił potem kilka zwrotów, niby to dla wskazania mi drogi, lecz domyśliłem się, że było to dla zatarcia śladów piwnicy. Zauważyłem je jednak dobrze, bo chciałem nazajutrz tam wrócić z kilku ludźmi, aby ratować kobietę, która błagała o pomoc, oraz, aby domagać się rachunku z pakunków, jakie widziałem w głębi przekłętej piwnicy.

VI.

Noc pełna przygód.—Odnajduję przyjaciół.—Odjazd ze Smoleńska.—Bitwa pod Krasnem.—Dragon Melet.

Przewodnik mój znikł naraz szybko, pozostawiając mnie w miejscu, w którym trudno mi było się zorientować. I wtedy to zacząłem na nowo żałować, że opuściłem pułk. Trzeba się jednak było na coś zdecydować, a ponieważ śnieg przestał padać jeszcze przed moim wejściem do piwnicy, zacząłem szukać śladów mych na śniegu. Idąc, myślałem tylko o tem, aby mury miasta mieć ciągle po prawej stronie. Doszedłem tak do placu, na którym spotkałem Badeńczyka, i aby mi to miejsce łatwiej było nazajutrz rozpoznać, zrobiłem kolbą dwa wielkie krzyże w śniegu i ruszyłem dalej.

Mogła być północ. Mróz znacznie się zwiększał. Po lewej stronie drogi widziałem ognie, lecz bałem się do nich zbliżyć, w obawie, aby nie wpaść w jaki dół, ukryty pod śniegiem. Maszerowałem z głową spuszczoną, macając karabinem drogę wprzód nim postawiłem nogę. Od niejakiego czasu

zauważyłem, że droga stopniowo się zniża. Trochę dalej trafiłem na szereg armat, które chciano prawdopodobnie wciągnąć na wały. Znalazłszy się przy nich, usiadłem na jednej, bo ciemność zapadła taka, że drogi odróżnić nie było można.

Znajdując się w tak rozpaczliwym położeniu, ukryłem twarz w dłoniach, strzelbę oparłem o nogi i w chwili, gdy nie wiele brakowało, aby na domiar mych nieszczęść ogarnął mnie sen, usłyszałem jakieś niezwykle dźwięki. Podniosłem się gwałtownie, podniecony myślą niebezpieczeństwa, w jakie popaść mogłem, poddając się senności, i natężyłem słuch, aby dojść, z kąd pochodzą owe dźwięki. Lecz nic już nie usłyszałem. Przypuszczać wtedy zacząłem, że to było tylko senne marzenie, lub że była to przestroga z nieba, aby mnie uratować. Ruszyłem w drogę, macając i stąpając ostrożnie po przeszkodach, na jakie co chwila natrafiałem.

Po jakimś czasie zatrzymałem się, aby trochę odetchnąć po drodze, w czasie której kilkakrotnie o mało co nóg nie połamałem, gdy ponownie doleciały mnie te same dźwięki. I cóż usłyszałem? Wszak to były dźwięki organów! Dalekie jakieś, i mimo to zrobiły one na mnie, tak strasznie opuszczonego i w takim położeniu będącego, wrażenie nieopisane. Ruszyłem zaraz dalej, kierując się w stronę owych dźwięków i znalazłem się na wzgórzu, na którym zatrzymałem się w samą porę, bo kilka kroków jeszcze i byłoby już po mnie. Wpadłbym bowiem w rów z wysokości 50-ciu stóp nad brzegiem Dniepru, na którym na szczęście paliły się ognie biwakowe i te mnie uratowały.

Przerażony tem nowem niebezpieczeństwem, cofnąłem się o kilka kroków i zatrzymałem się chwilę, aby usłyszeć, czy owe dźwięki znów mnie nie dojdą, lecz cisza panowała dokoła. Zwróciłem się na lewo, gdzie natrafiłem na drogę, którą ruszyłem powoli i z wielką ostrożnością, nasłuchując ciągle, ale gdy nic nie usłyszałem, doszedłem do przekonania, że było to tylko przywidzenie mej podbudzonej wyobraźni, gdyż w podobnych okolicznościach, w jakich nietylko my żołnierze znajdowaliśmy się, ale i mieszkańcy miasta, muzyka byłaby wprost ironią losu i jeszcze o tak późnej godzinie.

Maszerując ciągle i rozmyślając nad tem wszystkim, prawą nogą, która zaczęła mi się już odmrażać i dotkliwie sprawiać cierpienia, potknąłem się o coś twardego. Wydawszy okrzyk bólu, upadłem jak długi na jakiegoś trupa. Zerwałem się natychmiast. Pomimo ciemności, poznałem w nim dragona po kaszkiecie i płaszczu, na którym zmarł, prawdopodobnie niedawno.

Mój okrzyk usłyszanym był przez kogoś, stojącego z prawej strony i wołającego, abym się do niego zbliżył. Zdziwiony i uradowany, że znalazłem kogoś w tych opustoszałych miejscach, skierowałem się zaraz, z kąd głos ten pochodził, a im więcej się zbliżałem, tem więcej głos ów zdawał mi się znajomym. Naraz krzyknąłem:

— To ty, Beloque!

— Tak, to ja—odpowiedział.

Poznawszy mnie, nie mniej był zdziwiony, spotykając mnie o takiej godzinie i w takim miejscu, i również jak ja nie wiedział, gdzie byliśmy. Pierwotnie

wziął mnie za kaprała, który miał z ludźmi iść po chorych towarzyszków, zostawionych u bram, aby ich zanieść do miasta. Kierował się on naprzód po wale, lecz doszedłszy do owego miejsca, ludzie jego, bardzo osłabieni, zaczęli padać. Poszedł więc z pozostałymi po pomoc, pozostawiając Beloque'a na straży, lecz dotąd jeszcze nie wrócił.

Opowiedziałem mu, w jaki sposób zgubiłem drogę, a także o przygodzie w piwnicy, lecz o muzyce nie śmiałem mówić, w obawie, aby nie wziął mnie za chorego. Prosił mnie, abym z nim został, czego sam pragnąłem. Po chwili zapytał mnie dlaczego krzyknąłem, na co odpowiedziałem, że ów krzyk wywołał mój upadek na dragona i że ciała nasze zetknęły się.

— Przeraziłeś się więc, mój biedny przyjacielu?

— Nie!—odpowiedziałem—tylko upadek sprawił mi dotkliwy ból.

— Stało się bardzo szczęśliwie, bo inaczej przeszedłbyś koło mnie, a ja nie mógłbym cię zobaczyć.

Rozmawiając, chodziliśmy w kółko, aby się rozgrzać, i oczekując na tych, którzy mieli przyjść dla zabrania chorych, śpiących na kozuchach i nie dających prawie znaku życia.

— Obawiam się — rzekł Beloque — że nie będziemy się potrzebowali trudzić z ich przeniesieniem.

Rzeczywiście, chwilami robili takie wrażenie, niektórzy ciężko wzdychali, lecz były to objawy zbliżającej się agonii.

Podczas gdy tchnienie śmierci unosiło się ponad nami, powietrzna muzyka, która zdawała mi się, że istnieje tylko w mej wyobraźni, rozpoczęła się na nowo, lecz już znacznie bliżej. Zwróciłem na nią uwagę Beloque'a, opowiadając mu, co mi się przytrafiło, gdy usłyszałem dwukrotnie owe dźwięki harmonijne. Na to mi odpowiedział, że i on od czasu do czasu słyszał owe tony, nie domyślając się jednak, z kądby one pochodzić mogły, że chwilami miał wrażenie piekielnego hałasu, i jeżeli sprawcami jej są ludzie, to muszą być chyba opętani od diabła. Zbliżając się do mnie i nie chcąc, aby go umierający słyszeć mogli, rzekł:

— Mój kochany, te dźwięki podobne są do muzyki śmierci. Wszystko, co nas otacza, martwym jest i mam takie przeczucie, że za kilka dni umrę!

Po chwili dodał:

— Niech się dzieje wola Boża! Ale cierpieć tak strasznie przed śmiercią! Spójrz na tych nieszczęśliwych!

I wskazał mi dwóch ludzi, uspionych na śniegu. Nic mu na to nie odpowiedziałem, bo myśli moje zgadzały się zupełnie z jego myślami.

Przestał mówić i w milczeniu, przerywanem tylko świszczącym oddechem konających, słuchaliśmy dalej. Naraz Beloque przerwał je, mówiąc:

— Słuchaj, zdaje mi się, że dźwięki owe pochodzą z góry.

Wsluchaliśmy się uważnie, mieliśmy rzeczywiście takie wrażenie, jakby ktoś grał ponad naszymi głowami. Muzyka naraz ustała i zapanowała prze-

rażająca cisza w koło nas, zakłócona tylko żalonym jękiem. Było to ostatnie tchnienie człowieka, któregośmy pilnowali.

W chwilę potem rozległy się czyjeś kroki; to kapral przybywał z ośmiu ludźmi dla zabrania umierających, a ponieważ żył tylko jeden, więc go wzięli z sobą.

Mogło być po 1-ej w nocy, mróz zmniejszył się trochę i wiatr ucichł, lecz byłem tak strasznie zmęczony, że nie mogłem iść dalej, a trzeba jeszcze dodać i nieprzewyciężoną chęć snu, tak dalece, że w czasie drogi Belouque kilkakrotnie budził mnie, bo zasypiałem stojąc.

W drodze objaśnił mnie, gdzie mógłbym znaleźć Grangiera, a wiedział stąd, że żołnierze z jego pułku, eskortujący ostatni furgon marszałka, widzieli go z towarzyszami w domu, w którym umieścili furgon. Zbliżywszy się do końca wału smutny nasz pochód skierował się w stronę kwater, lecz ja odłączyłem się od nich, aby pójść drogą, którą mi wskazywali, w nadziei, że poszukiwania moje zostaną narreszcie uwieńczone skutkiem.

Maszerowałem tak sam jeden przez kilka minut, gdy znów owa przekłeta muzyka odezwała się. Zatrzymałem się natychmiast i podniósłszy głowę, aby lepiej usłyszeć, ujrzałem przedemną jakieś światło. Skierowałem się ku niemu, lecz droga podniosła się i światło znikło, to mnie jednak nie wstrzymało, dopiero wysoki mur zagroził mi drogę. Zwróciłem się na prawo, potem na lewo i w końcu znalazłem się na jakiejś ulicy, zupełnie zrujnowanej. Idąc dalej, kierowany odgłosem muzyki, doszedłem

do końca ulicy, gdzie były jakieś zabudowania oświetlone i z których płynęła owa muzyka. Po kilku jeszcze zwrotach znalazłem się przed niewielkim murem, okalającym owe zabudowania. Był to kościół.

Byłem strasznie zmęczony i dlatego to, bojąc się długo szukać wejścia, postanowiłem przeskoczyć mur, a dla przekonania się o jego wysokości, zmierzylem go strzelbą. Mógł mieć od trzech do czterech stóp wysokości. Przeskoczywszy na drugą stronę, upadłem, potknąwszy się o coś okrągłego, lecz nic mi się nie stało. Powierzchnia placu nie była równą, dlatego też, aby powtórnie nie upaść, wsparłem się na karabinie. Przyczyną tej nierówności były setki trupów, zaledwie śniegiem pokrytych. Podczas gdy się tak powoli posuwał, zagłębiając nogi i karabin niejednokrotnie między nogi lub ramiona zmarłych, leżących w porządku, jakby z góry obmyślnym, aby było dość miejsca dla innych, owe ponure dźwięki rozległy się na nowo. Teraz zdawało mi się, że jest to msza upiorów i słowa Beloque'a stały mi jak żywe w pamięci. Przeszedł mnie dreszcz trwogi, nie wiedziałem, gdzie jestem i dokąd idę, i nie wiem, jakim sposobem znalazłem się wsparty o tyły chóru kościelnego.

Oprzytomniawszy cokolwiek, wściekając się na ową piekielną muzykę, posuwałem się wzdłuż muru i tak doszedłem do drzwi rozwartych, przez które przedostawał się gęsty dym. Wszedłszy, znalazłem się wśród ludzi, sprawiających wrażenie cieni, tyle tam było dymu. Ludzie ci śpiewali i grali na organach. Rozejrzałem się w koło, gdzie jestem

i w pośród kogo. Jeden ze śpiewaków, zbliżył się do mnie z okrzykiem:

— To mój sierżant!

Poznał mnie, pomimo mej niedźwiedziej skóry. Był to jeden z żołnierzy naszego pułku. Możecie sobie wyobrazić moje zdumienie na widok tej jego wesołości. Gdym go wypytywał o jej przyczynę, zbliżył się do mnie jeden z nich, podając mi srebrną wazę pełną wódki. Wtedy zrozumiałem wszystko. Byli oni pijani i zupełnie nieprzytomni.

Jeden z nich opowiadał mi, że należąc do przedniej straży, weszli najpierw i idąc przez miasto, spostrzegli wychodzących z piwnicy dwóch żydów z latarnią. Postanowili więc zwiedzić ją zaraz po rozdziale żywności, a następnie przepędzić noc w kościele, który zauważyli po drodze. W piwnicy znaleźli baryłkę wódki, worek ryżu i trochę sucharów, dwa płaszcze podbite futrem, i czapki, prawdopodobnie rabinów.

— Wziąłem to z sobą dla towarzyszków, którzy futer nie mieli.

Pomiędzy nimi było kilku muzykantów pułkowych, którzy zaczęli grać na organach. Teraz wytłómaczyły się owe dźwięki, które mnie tak bardzo zaintrygowały.

Dali mi ryżu, kilka kawałków sucharów i czapkę rabina, obłożoną futrem z lisa czarnego. Ryż starannie schowałem do worka, czapkę wdziałem na głowę, a chcąc trochę spocząć, położyłem się na podłodze obok ognia. Zaledwie jednak złożyłem strudzoną głowę na worku, gdy rozległy się silne uderzenia we drzwi i straszne przekleństwa. Porwaliśmy się,

żeby zobaczyć, co to takiego. Było to sześciu ludzi, wiodących wóz zaprzężony w chudą szkapę, a napełniony zwłokami, które chcieli umieścić po za kościołem obok tych, po których stąpałem; ziemia była zanadto zmarzniętą, ażeby mogli wykopać dół, a mróz doskonale chronił ciała od zepsucia. Mówili, że jeżeli to wymieranie potrwa dłużej, nie wiadomo będzie, co ze zwłokami robić, wszystkie cerkwie bowiem przepełnione były chorymi, o których nikt nie miał starania, że tylko ta jedna nie posiada chorych, ale za to składają obok niej zmarłych i że od chwili przybycia wielkiej armii nie mogą nastarczyć wynoszenia zwłok ludzi, którzy umierają co chwila. Po tem wyjaśnieniu położyłem się spać, a dozorczy prosili o pozwolenie spędzenia tu reszty nocy, ażeby naza jutrz na nowo wziąć się do swojej smutnej pracy; wyprzągłszy konia, wprowadzili go do cerkwi i udali się na spoczynek.

Spałem dość dobrze resztę nocy, choć dręczony dotkliwie przez robactwo. Od chwili, gdy mnie ono obsiadło, nigdy mi jeszcze nie dawało się tak uczuć, jak wtedy, zresztą było to łatwem do wytłómaczenia, na powietrzu nie ruszało się wcale, lecz jak tylko było trochę cieplej, korzystało z tego, ażeby mi dokuczać.

Nad ranem rozbudzony zostałem krzykiem nieszczęsnego muzykanta, który złamał sobie nogę, schodząc ze schodów wiodących na chór, gdzie spał. Ci, którzy byli na dole, wyrwali parę stopni dla rozpalenia ogniska, tak że biedak schodząc, a nie wiedząc o tem, spadł kalecząc się i łamiąc nogi.

Żołnierze zajęci byli pieczeniem mięsa, nadzia-

nego na pałasze. Oczekując na zupę, spytałem się, zkąd dostali mięsa i czy je gdzie rozdają? Odpowiedzieli, że nie rozdają, że to, które pieką jest z konia pociągowego, którego zabili w czasie snu dozorców. Zrobili dobrze, boć przecież żyć było trzeba.

W godzinę potem, gdy już czwarta część konia zjedzoną była, obudzili się dozorczy, a dowiedziawszy się o losie szkapy, zaczęli nam wymyślać i grozić, że poskarżą się dyrektorowi szpitala. Tymczasem myśmy zajadali sobie najspokojniej, żałując tylko, że owa pieczeń była strasznie chuda i że nie było najmniej dwunastu koni, któremiby się mógł pożywić pułk cały. Odjechali, przeklinając nas i przez zemstę rzucili pod drzwi siedmiu trupów w taki sposób, że chcąc się wydostać, trzeba było przez nich przeska-kiwać.

O godzinie 7-ej wyruszyłem w drogę, ażeby do-trzeć do pułku, przedtem jednak namówilem czterna-stu ludzi, ażeby ze mną poszli. Zjadłszy doskonałą ryżową zupę z koniny, umieściwszy worki na plecach z żydowskiemi płaszczami, wyszliśmy z kościoła, napelniającego się nowymi biedakami, a także tymi, którzy tułali się przez noc, lub takimi, co opuścili swe kwatery w nadziei znalezienia lepszych miejsc. Głodni zaczęli plądrować wszędzie i nie zwracali wcale uwagi na leżące trupy, twarde jak kamień, stą-pając po nich, jak po kłodach drzewa.

Na drodze, opowiedziawszy towarzyszom przy-godę w piwnicy, zaproponowałem im zwiedzenie tej-że, na co się chętnie zgodzili. Drogę znaleźliśmy ła-two, bo pierwszym naszym przewodnikiem był zmar-ły, którego Beloque zostawił, następnie dragon, na

którego się przewróciłem. Po przebyciu wąwozu zapelnionego armatami, gdzie wczoraj niewiele brakowało, ażebym zasnął snem nieprzespanym, doszliśmy do miejsca, w którym porobiłem znaki na śniegu. Drzwi piwnicy były zamknięte i na nasze dobijanie się nikt nam nie odpowiadał. Wywalono je, lecz ptaszki już się ulotniły, znajdował się tam tylko jakiś człowiek, lecz tak pijany, że nie mógł nic mówić; w człowieku tym poznałem Niemca, który chciał mnie za drzwi wyrzucić. Ubrany był w kozuch barani, który ściągnął mu jeden z muzykantów, pomimo usilnego ze strony jego oporu. Znaleźliśmy kilka mantelzaków i skrzynkę, wszystko skradzione w nocy i wszystko puste, jak również i baryłka, którą przyniósł Badeńczyk, a która musiała zawierać wódkę.

Przed wyruszeniem obejrzałem miejscowość i ku wielkiemu mojemu zdziwieniu spostrzegłem, że choć maszerowałem długo, lecz drogi zrobiłem niewiele, gdyż kręciłem się tylko dokoła kościoła.

Wracaliśmy do obozu. Po drodze spotkaliśmy kilku ludzi z pułku, którzy się przyłączyli do nas, a trochę dalej spostrzegłem podoficera, w którym poznałem Grangiera po jego białym worku. Wycalowałem go, on mnie jeszcze nie poznał, tak bardzo byłem zmieniony. Szukaliśmy się obydwoj, bo i on od wczoraj, od chwili przybycia armii, dopytywał się o mnie, lecz nikt nie umiał mu powiedzieć, gdzie jestem i gdybym był się tak wczoraj nie pośpieszył, byłby mnie zaprowadził do siebie, gdzie czekała na mnie zupa i świeża słoma. Poszedł z nami do obozu

w porządku wojskowym. Po kilku chwilach na dany przez Grangier'a znak zeszedłem na bok. Dał mi potajemnie kawałek upieczonego mięsa wołowego, które chował dla mnie, i kawałek chleba.

Od dwudziestu trzech dni nie jadłem nic podobnego, to też pochłonąłem je w jednej chwili. Wypytywał mnie się o jednego ze swych rodaków, niebezpiecznie chorego. Wiedziałem o nim tyle tylko, że wszedł do miasta, a nie wiedząc, gdzie stoi jego pułk, radziłem, ażeby dojść do bram, przez które weszliśmy, a tam może się co o nim dowiemy, gdyż wielu chorych, nie mogąc wdrapać się na ślizką, zmarzłą górę, pozostało między Badeńczykami lub też w okolicach miasta. Ruszyliśmy tam zaraz.

Maszerowaliśmy jakiś czas, a doszedłszy do zmarłego dragona, znaleźliśmy go prawie zupełnie gołego. Szukano przy nim trzосу z pieniędzmi. Wskazałem mu piwnicę, była napełniona trupami. Obok straży badeńskiej wkoło leżały trupy gwardzistów, zmarłych w nocy, których oficer straży nie pozwolił ograbić. Powiedział nam, że w jego oddziale jest dwóch, o ile mu się zdaje, gwardzistów. Poszliśmy ich zobaczyć. Leżeli bez przytomności, jeden był strzelcem, drugi, z twarzą przykrytą chustką, był z naszego pułku. Grangier, odkrywszy mu twarz, zdziwił się, poznawszy w nim tego, kogo szukał. Staraliśmy się o ile możności pomódz mu, odpiąwszy mu szablę, tornister i kołnierz, a następnie usiłując wlać mu w usta kilka kropli wódki. Otworzył oczy, nie poznając nas i po chwili skonał na moich rękach.

W worku jego znaleźliśmy zegarek, kilka dro-

bnych przedmiotów, które Grangier zabrał z sobą, aby je wręczyć jego rodzinie, jeżeli los pozwoli mu wrócić do Francji, gdyż pochodził z tych samych stron, co i on. Strzelca umieściliśmy w wygodniejszej pozycji i pozostawili własnemu losowi. Czyż mogliśmy co innego zrobić?

Grangier jednakże poszedł do obozu i wysłał po niego czterech ludzi z jego oddziału, prawdopodobnie nie żył w chwili ich przybycia, gdyż wszyscy, którzy znajdowali się już w tym stanie, w krótkim czasie umierali, jakby ich kto dusił.

Wróciliśmy do obozu i reszta dnia przeszła nam na rozmowie i oczyszczaniu broni. Tego dnia zabito wiele koni, które rozdzielono, rozdano trochę mąki i trochę kaszy, nadzwyczaj zanieczyszczonej otrębami.

Nazajutrz o godzinie 4-ej rano rozkazano nam wziąć się do broni i ruszyć o ćwierć mili od miasta, gdzie przy silnym mrozie trwała walka do białego dnia. Przez cały dzień biliśmy się także, gdyż wojsko rosyjskie kręciło się ciągle po lewej stronie miasta.

Tak upłynęło trzy dni, a myśmy jeszcze nie wiedzieli, czy zostaniemy w Smoleńsku, czy też ruszymy dalej. Pobyt tu był niemożliwy, lepiej więc było iść dalej, niż siedzieć w mieście, w którym nie było ani dachu nad głową, ani potrzebnej żywności.

Czwartego dnia, wracając nad wieczorem z placówki, niedaleko naszych biwaków spostrzegłem oficera z pułku liniowego, uśpionego z kilku żołnierzami obok ognia. Spojrzałem na nich, jak na kogoś mi znanego, lecz długo nie mogliśmy się poznać,

zmienieni naszym dziwnym strojem. Zatrzymałem się, on się podniósł i zbliżając się do mnie, rzekł.

— Wszak się nie mylę?

— Nie — odpowiedziałem mu. — Poznaliśmy się i ucałowali, nie mówiąc ani słowa.

Był to Beaulieu, mój towarzysz z piechoty jeszcze z czasów Fontainebleau. Jakżeśmy byli zmienieni i w jakim stanie? Nie widziałem go od bitwy pod Wagram, w której z gwardyi przeszedł do pułku liniowego. Spytałem się go, gdzie znajduje się jego pułk; za całą odpowiedź wskazał mi orła wśród resztek broni. Było ich jeszcze trzydziestu trzech, a on był jedynym oficerem z chirurgiem majorem, inni w większej części zginęli w bitwach, w mniejszej zmarli z głodu i mrozu, kilkunastu zginęło lub się gdzieś zabłąkało.

Beaulieu był kapitanem i otrzymał rozkaz postępowania za gwardyą. Chwilę rozmawiałem jeszcze z nim, a ponieważ był bardzo głodny i nie miał żadnych zapasów, podzieliłem się z nim, jak brat z bratem, ryżem, otrzymanym od tych, których spotkałem w kościele. To był najwyższy dowód przyjaźni, jaki można było okazać swym przyjaciółom w tem położeniu, gdzie nawet za złoto nic znaleźć nie można było.

Dnia 14-go rano wyjechał cesarz ze Smoleńska z oddziałem grenadyerów i strzelców, myśmy zaś wyruszyli w kilka godzin potem, tworząc tylną straż i zostawiając po za sobą korpusy księcia Eugeniusza, Davousta i Ney'a, składające się z niewielu ludzi. Niedaleko od wioski Korytnia znajdował się dosyć stromy wąwóz, trzeba się było zatrzymać, by artyler-

rya swobodnie przebyć go mogła. Szukałem więc Grangiera, jak i kilku mych przyjaciół, chcąc im zaproponować, byśmy poszli naprzód, zamiast stać i marznąć. Będąc już po drugiej stronie, spostrzegłem trzech ludzi obok martwego konia, dwóch z nich robiło wrażenie pijanych, tak się strasznie zataczali, trzeci Niemiec spał na zwłokach konia. Ten nieszczęśliwy, umierający z głodu, nie mogąc ukrajać go, gryzł kawałami mięso i tak na nim skończył. Dwaj drudzy huzarzy mieli usta i ręce pokrwawione, zwróciłem się do nich z zapytaniem, lecz nie otrzymaliśmy żadnej odpowiedzi, spojrzeli tylko na nas ze śmiechem, wzbudzającym strach i trzymając się pod ręce, usiedli obok tego, który konał i prawdopodobnie zasnęli obok niego na zawsze.

Szliśmy dalej po wytkniętej drodze z zamiarem dotarcia do gwardyi i tam przy jakim opuszczonem ognisku czekać na pułk. Spotkaliśmy wtedy huzara, zdaje mi się z 8-go pułku, walczącego ze śmiercią, potykającego się co chwila i co chwila zrywającego się. Pomimo tego, że nie mogliśmy im dać wielkiej pomocy, zbliżyliśmy się do niego w chwili, gdy upadł, by nie powstać więcej. Na każdym kroku zmuszeni byliśmy stąpać po zmarłych i umierających.

Idąc ciągle drogą i nie zważając na przeszkody napotykanne, ujrzelśmy siedzącego pod drzewem żołnierza liniowego około niewielkiego ogniska. Zajęty był gotowaniem w kociołku serca i wątroby końskiej, Opowiedział nam, że nie mając czem pokrajać konia, zrobił mu w brzuchu dziurę bagnietem, wy dostał ztamtąd serec i wątrobę, które teraz gotuje.

Zaproponowaliśmy mu, by pozwolił nam ugotować w kociołku zupę z ryżu i kaszy, które mieliśmy ze sobą, wzamian za co damy mu jej trochę. Zgodził się na to z radością. Zupę ową osłodził kawałkiem cukru, który Grangier miał w swym worku, bośmy soli nie mieli, a nie chcieliśmy jej solić prochem. Gdy się zupa gotowała, piekliśmy sobie na końcach bagnatów kawałki wątroby i cynadry końskie, które wydawały nam się wyborne. Kiedy ryż się dogotował, zjedliśmy go i połączyli się z korpusem, który już nas wyminął. Tegoż dnia cesarz nocował w Korytni, a my po za nią w lesie.

Nazajutrz wczesnym rankiem wyruszono, by dotrzeć za dnia do Krasnego, ale niedaleko tego miasta pierwsze pułki cesarskie natknęły się na 25 tysięcy Rosyan, zastępujących nam drogę. Pierwsi, którzy ich spostrzegli, byli to maruderzy, zaraz też cofnęli się po za armię, ale pułki gwardyi nie były tak nieśmiałe i mężnie zbliżały się ku nieprzyjacielowi. Kilkunastu ludzi, zupełnie nieprzytomnych, rzucało się na nich.

Grenadyerzy i strzelcy gwardyi sformowali się w ścieśnione szeregi i dywizjami zbliżali się do nieprzyjaciela, który obawiając się ich, cofnął się, i zostawił swobodne przejście i zajął wzgórek na lewo drogi, poczem kilkakrotnie wystrzelił. Na głos strażaków przyspieszyliśmy kroków i przybyliśmy w chwili, gdy zakładano baterye, by im odpowiedzieć. Na pierwsze nasze strzały schowali się po za wzgórek, a myśmy szli dalej.

W dwie godziny po spotkaniu z nieprzyjacielem cesarz wszedł do Krasnego z pierwszymi pułkami

gwardyi, t. j. naszym pułkiem i strzelcami. Biwakowaliśmy na skraju miasta; otrzymałem rozkaz z piętnastu ludźmi udania się na wartę do generała Roguet, który stał w mieście w lichym domu, pokrytym słomą. Rozłożyłem się w stajni, czując się bardzo szczęśliwym, że będę mógł noc spędzić pod dachem i obok ognia, który rozpaliliśmy. Lecz stało się inaczej.

W tym czasie Rosyanie w liczbie 30 tysięcy otoczyli nas, spodziewając zniszczyć nas zupełnie. Ale cesarz postanowił im pokazać, że rzecz nie jest tak łatwą, jak im się to wydaje, bo choć umieraliśmy z głodu i chłodu, pozostało nam jeszcze coś, co nas podtrzymywało: był to honor i męstwo. Cesarz, zmęczony nieustannem nagabywaniem nieprzyjaciela, postanowił się od niego uwolnić.

Wieczorem jeszcze generał Roguet otrzymał rozkaz zaatakowania ich w nocy z częścią gwardyi, pułkiem strzelców, grenadyerów i wołyżerów. O godzinie 11-ej pierwsze oddziały wysłano na rekonesans i na przejrzenie pozycji nieprzyjaciela, który zajął dwie wioski. Prawdopodobnie spodziewali się napadu, bo gdyśmy ich zaatakowali, część była już gotową do walki.

Koło godziny 1-ej generał przyszedł mi powiedzieć w swoim gaskońskim akcencie:

— Sierzancie, zostawisz tu kaprała z czterema ludźmi, by pilnowali mego mieszkania i tych trochę rzeczy, które mi pozostały, a sam wrócisz do obozu, by połączyć się z pułkiem, bo lada chwila będzie bitwa.

Przyznam się otwarcie, że ów rozkaz nie spra-

wił mi przyjemności, nie z obawy przed walką, ale dlatego, że żałowałem tych kilku chwil wytchnienia, którego tak bardzo potrzebowałem.

Gdy przybyłem do obozu, zastałem już wszystkich, szykujących broni i gotowych do bitwy. Wielu spodziewało się, że znajdzie w niej koniec swych cierpień, gdyż doprawdy było prawie niemożliwym wytrzymać dłużej.

O godzinie 2-iej wyruszono trzema kolumnami, strzelcy i grenadyerzy, do których należałem, tworzyli środek, tyralierzy i wołyżerzy skrzydło lewe i prawe. Mróz był równie silny, jak i dni poprzednich, posuwaliśmy się powoli po śniegu, dosięgającym nam do kolan. W pół godziny stanęliśmy przed nieprzyjacielem, który stał już pod bronią; wielka linia piechoty uszykowaną była po prawej naszej stronie o dwadzieścia cztery kroki, witając nas morderczym ogniem. Kawalerya, składająca się z kirasyerów, biało ubranych, stała po lewej stronie w takiejże samej odległości, wyjąc jak wilcy dla dodania sobie odwagi, lecz nie ośmielając się nas zaatakować, a artylerya zajmowała środek. To jednakże nie wstrzymało naszego pochodu, bo nie zważając na ich ogień i na wielką liczbę żołnierzy padających, posuwaliśmy się dalej i dotarłszy do ich szeregów, rzuciliśmy się na bagnety, siejąc straszne spustoszenie.

Reszta wojska rosyjskiego schwyciła za broń i przybyła na pomoc walczącym. Podłożyli oni ogień pod swój obóz i pod dwie sąsiednie wioski. Mogliśmy się więc bić przy blasku pożaru. Skrzydło prawe i lewe wtargnęło do nieprzyjacielskiego obo-

zu, a główna kolumna rozdzieliła się już przez środek.

Zapomniałem powiedzieć, że w chwili, gdyśmy zaczęli bitwę i gdy przednia część naszych wojsk wdzierła się w szeregi rosyjskie, spotkaliśmy rozciągniętych na śniegu kilkuset Rosyan. Myśląc, że to są zmarli lub ranni, przeszliśmy koło nich, wtedy zerwali się i zaczęli do nas strzelać, tak, żeśmy zmuszeni byli cofnąć się trochę. Na szczęście dla nas, batalion tylnej straży nadszedł, którego oni nie widzieli i zostali wzięci w dwa ognie, tak że w przeciągu pięciu minut żaden z nich nie istniał. Był to podstęp wojenny, używany często przez Rosyan, lecz wtedy im się nie udał.

Jednym z pierwszych, który padł, był ów niešťczęśliwy Beloque, ten sam, który w Smoleńsku przepowiedział sobie śmierć. Został traiony kulą w głowę i zabity na miejscu, wszyscy, którzy go znali, byli jego przyjaciółmi i pomimo obojętności, jaka nas ogarnęła na wszystko, nawet dla siebie samych, Beloque'a żalowali wszyscy towarzysze.

Gdyśmy przebyli obóz rosyjski i dotarli do wioski, wrzuciwszy przedtem część artylerji w jezioro, zastaliśmy pochowaną po gorejących domach wielką liczbę ich piechoty. Walczyliśmy z nimi do upadłego i walka była straszną. Każdy walczył osobno, takeśmy się rozsypali. Znalazłem się obok naszego pułkownika, który był w Egipcie. W owej chwili podtrzymywał go pod ramię jeden z saperów, obok niego stał adjutant Rustan. Przy wejściu do wsi znaleźliśmy rodzaj karczmy, w której skryło się wielu Rosyan, a zdobywanej przez ludzi naszego pułku.

Podczas tej niszczącej walki zauważyłem na podwórzcu rosyjskiego oficera na białym koniu, bijącego płazem szabli tych, którzy szykowali się do ucieczki i tamowali mu drogę. Oficer zdobył sobie przejście. Żołnierze nieprzyjacielscy musieli się teraz bronić i walka stała się jeszcze zaciętszą. Przy blasku płomieni sprawiało to wrażenie rzezi. Rosyjanie i Francuzi, zmieszani z sobą, wlokący się po śniegu, zabijali jeden drugiego.

Chciałem podbiec do oficera rosyjskiego, który przy pomocy dwóch żołnierzy wydobywał się z pod konia i chciał się ratować uciezką, lecz żołnierz jakiś, mierząc do mnie, zmusił mnie do zatrzymania się. Prawdopodobnie miał tylko ślepy nabój, który wystrzelił, bo w przeciwnym razie byłoby już po mnie. Czując, że nie jestem rannym, odsunąłem się o kilka kroków od mego przeciwnika, który myśląc, że jestem śmiertelnie trafiony, najspokojniej nabijał swą broń. Adjutant Rustan, stojący obok pułkownika, widząc, iż jestem w niebezpieczeństwie, podbiegł ku mnie i biorąc mnie za ramię, zawołał:

— Czy nie jesteś rannym, mój biedny Bourgogne?

— Nie—odpowiedziałem.

— A więc nie oszczędzaj go!

Było to także moją myślą. Przypuszczając, że strzelba moja zamokła, co się często przytrafiało z powodu śniegu, podbiegłem na nieprzyjaciela z pochylonym bagnetem. Wtem jakaś kula go trafiła. Choć był śmiertelnie rannym, nie upadł od razu, lecz szedł, chwiejąc się i patrząc na mnie groźnym wzrokiem ze skierowaną bronią. Doszedłszy do konia

oficera, leżącego koło baryery, upadł na niego, a adjutant major dobił go szablą. Ja zaś wróciłem do pułkownika umierającego ze zmęczenia i nie mającego sił do wydawania rozkazów. Obok niego był jeden z saperów. Adjutant nadbiegł tymczasem z okrwawioną szablą, opowiadając, że chcąc się do nas dostać, musiał przedzierać się przez żywy nieprzyjacielski mur, z którego jednak nie wydostał się cały, bo ukluto go w udo bagnetem. W tejże chwili saper, podtrzymujący pułkownika, trafiony został kulą w pierś, a pułkownik, spostrzegłszy to, rzekł do niego:

— Saperze, czyś ty raniony?

— Tak, pułkowniku — odrzekł i wzięwszy go za rękę, wsunął palce w ranę, mówiąc: — tu pułkownik!

— Oddalże się więc.

Lecz saper odpowiedział mu na to, że ma jeszcze dość sił, by go podtrzymać, lub umrzeć razem z nim.

— Ale gdzie pójdziesz potem? — zapytał się go adjutant.—Rzucę się na nieprzyjaciół, gdyż i tak nie wiemy, gdzie jesteśmy, a chcąc naszych rozpoznać, trzeba czekać dnia i walczyć ciągle.

Rzeczywiście nie wiedzieliśmy zupełnie, gdzie jesteśmy z przyczyny blasku pożaru, a pułk nasz walczył w kilku miejscach i to częściowo tylko.

Nie upłynęło jeszcze pięciu minut od chwili, gdy saper został ranionym, gdy Rosyanie, zamknięci w chałupie i otoczeni przez nas, chcieli się poddać, w obawie spalenia się żywcem. Jeden z ich oficerów wystąpił z tą propozycją. Adjutant wystąpił mnie z rozkazem zaprzestania ognia.

— Przestać strzelać? — odpowiedział mi jeden z żołnierzy z mego oddziału, który był raniony—przestanie, kto zechce, co do mnie jednak, ponieważ jestem ranny i prawdopodobnie zginę, nie przestanę strzelać, dopóki nie zabraknie mi kul.

I rzeczywiście, siedząc na śniegu, barwiąc go swą krwią, ciekącą mu z rany, nie zaprzestał ognia, a nawet dopominał się o kule u innych. Adjutant, widząc, że rozkazy jego nie zostały spełnione, przybył sam, mówiąc, że przysyła go pułkownik. Ale żołnierze nasi, walczący z rozpaczą, nie słyszeli go i nie przestali. Rosyanie, widząc, że nie ma już dla nich żadnej nadziei ocalenia się i nie mając prawdopodobnie więcej amunicji dla obrony, postanowili przedrzeć się masą przez nas, bo dom zaczął się już palić, lecz nasi zmusili ich do odwrotu. W kilka chwil potem ponowili swój zamiar, zaledwie jednak kilku wyszło na podwórze, gdy budynek zawalił się na resztę i więcej niż czterdziestu zginęło w płomieniach, a los tych, co wyszli, również nie o wiele był szczęśliwszym.

Zebrawszy rannych, usiedliśmy obok pułkownika z nabitą bronią, oczekując dnia. Wokoło nas panował nieustający hałas, strzelanina tych, którzy jeszcze walczyli, łączyły się z tem krzyki rannych i jęki konających. Nic bardziej smutnego nie może być, jak taka nocna walka, w której zdarzają się często bolesne pomyłki.

Doczekaliśmy się w końcu dnia, przy którym osądzić mogliśmy rezultaty walki. Cała przestrzeń, którąśmy przebiegli, pokryta była martwymi i rannymi. Poznałem tego, który chciał mnie zabić, żył je-

szcze, kula przeszła mu bok, obok tego był rannym od szabli odjutanta. Ułożyłem go wygodniej, gdyż koń, leżący obok niego i wierzgający, mógł mu być zrobić co złego.

Wnętrze domów wioski, w której byliśmy, obóz rosyjski i cała okolica pokryta była trupami, z których część była na wpół zwęgloną. Nasz dowódca batalionu, Gilet, miał strzaskaną nogę i z rany tej umarł w kilka dni potem.. Tyrallierzy i wołtyżerzy mieli większe straty, niż my. Rano spotkałem kapitana Debonnez, pochodzącego z tych stron, co i ja, i dowodzącego pułkiem wołtyżerów gwardyi, który mnie szukał. Opowiedział mi, że stracił trzecią część swego oddziału.

Po tej morderczej walce Rosyanie cofnęli się trochę ze swych pozycji, a my pozostaliśmy na polu walki przez dzień cały i noc, z dnia 16 na 17 i ciągle byliśmy w ruchu. Co chwila zwolowano nas, dopytując się, czy mamy broń nabitą, tak, że o odpoczynku, a nawet o rozgrzaniu się myśleć nie mogliśmy.

Po jednym z takich przeglądów, w chwili, gdyśmy wszyscy podoficerowie zebrali się razem, rozmawiając o naszej niedoli i walce nocy poprzedniej, adjutant major Delaître, człowiek bardzo zły i okrutny, czyniący zło dla przyjemności, przyłączył się do naszej rozmowy i dziwna rzecz, rozpoczął się litować nad tragicznym zgonem Beloque'a, którego stratę oplakiwaliśmy właśnie.

— Biedny Beloque—rzekł—żałuję mocno wszystkiego, co mu kiedykolwiek złego uczyniłem.

Jakiś głos wtedy odezwał mi się tuż nad

uchem, lecz o tyle głośno, że był słyszany i przez innych:

— On wkrótce umrze!

Zkąd on pochodził, do dziś dnia nie wiem. Zdawało się, że major żałować zaczął swych złych postępów, jakie kiedykolwiek uczynił swym podwładnym, a szczególnie nam, podoficerom. W korpusie niejeden z nas z chęcią posłałby mu kulę i nie nazywano go nigdy inaczej, jak okrutnym Piotrem.

Rano d. 17-go ze świtem, schwyciwszy za broń, w zwartych kolumnach dywizyjami wyruszyliśmy, aby zająć pozycję nad brzegiem drogi, ze strony przeciwnej pola walki, które opuszczaliśmy.

Przybywszy tam, zastaliśmy już część armii rosyjskiej, która zajęła wzgórze i rozsypała się po lesie. Rozwinęliśmy się zaraz w linię i stanęliśmy frontem do nich, a lewe skrzydło zajęło wąwóz, przecinający drogę, który mógł nas zasłonić w razie ognia nieprzyjacielskiego. Prawe skrzydło składało się ze strzelców, przed nami na dwieście kroków stał pułk młodej gwardyi, złożonej z najlepszych wołyżerów, w ścieśnionych kolumnach pod wodzą pułkownika Luzon. Trochę dalej na prawo od nas byli starzy grenadierzy i strzelcy w tym samym porządku, jak również i reszta gwardyi cesarskiej, kawaleryi i artyleryi, nie biorącej udziału w walce z d. 15-go na 16-ty. Całość zaś była dowodzoną przez samego cesarza, który był pieszo. Zbliżając się krokiem śmiałym, jakby w dniu wielkiej porady, stanął na środku pola bitwy wprost nieprzyjacielskich baterii.

W chwili, gdyśmy zajmowali pozycję przy dro-

dze, maszerowałem obok mych przyjaciół Grangiera i Leboude'a, po za nami zaś szedł major Delaître.

Gdy Rosyanie nas spostrzegli zaczęli strzelać i major Delaître został traiony pierwszy, kula armatnia urwała mu dwie nogi tuż koło kolan. Padł, nie wydawszy ni krzyku, ni jęku, a padając, pociągnął za sobą konia, którego wiódł za uzdę, zagrządzając nam wązką drogę, po której szliśmy, tak, że chcąc ją przebyć, trzeba było stąpać po jego ciele. Ponieważ szedłem tuż koło niego, musiałem to zrobić pierwszy i przechodząc, przypatrzyłem mu się dobrze. Miał oczy otwarte, a zęby szczękały mu konwulsyjnie. Poznał mnie i zawołał po imieniu. Zbliżyłem się do niego. Wtedy odezwał się dość głośno, by go i inni usłyszeć mogli:

— Moi towarzysze, wyciągnijcie pistolet z pochwy przy siodle i dobijcie mnie, błagam was o to.

Nikt się jednak nie ośmielił spełnić jego prośby i nic mu nie odpowiedziawszy, ruszyliśmy dalej na szczęście, bo ta sama bateria wysłała nową kulę, która porwała nam trzech ludzi.

Od samego rana zauważyliśmy oddział rosyjski, który miał taką minę, jakby zamierzał nas otoczyć z trzech stron. W kilka chwil po stracie majora przybył cesarz. Zatrzymaliśmy się i wkrótce rozpoczęła się walka.

Nieprzyjacielska bateria przywitała nas kartauczami, siejącymi śmierć w naszych szeregach. W odpowiedzi na to wysłaliśmy im kilka kul. Wkrótce część armat naszych była zdemontowaną. Żołnierze nasi padali bez poruszenia się. W tej fatalnej po-

zycy, wystawieni na największy nieprzyjacielski ogień, pozostawaliśmy do godz. 2-iej po południu.

Rosyanie chcieli przeciąć nam odwrót, wysyłając oddział, który miał zająć drogę pod Krasnem, lecz nie udało im się to, bo cesarz wstrzymał ich, wysyłając batalion starej gwardyi.

W czasie najgorętszej walki, gdy ludzie nasi padali jak kłosa, spostrzegliśmy na drodze na lewo szczątki korpusu marszałka Davoust, otoczoną chmurą kozaków, którzy jednak nie ośmielili się na nich natrzeć, lecz tylko powoli przybliżali się do nich. Wśród nich znajdował się wóz markietanki z jej dziećmi. Naraz padła nań kula armatnia, roztrzaskując tylną część wozu. Czy zabiła kogo z ludzi, nie wiem.

Tymczasem grenadyerzy holenderscy, nie mogąc dłużej utrzymać się na pozycji, opuścili ją. Rosyanie w tejże chwili zajęli swą artyleryą i skierowali na nas ogień. Wtedy położenie nasze stało się nie do wytrzymania. Jeden z pułków, nie pamiętam który, wysłany był przeciwko owej artyleryi, musiał się jednak zaraz cofnąć, po nich poszedł pułk wołyżerów, który doszedł aż do baterii, ale tu nie puścili ich dalej kirasyerzy, ci sami, z którymi walczyliśmy w nocy z d. 15-go na 16-ty. Nasi wtedy cofnęli się trochę na lewo i wprost naszego pułku utworzyli czworobok. Rosyjska kawaleria natarła na nich, ale przyjęto ją gradem kul; straciwszy wielką liczbę ludzi, cofnęła się wstecz. Natarła po raz drugi, lecz z tymże samym skutkiem i wkrótce przed czworobokiem utworzył się wał z ludzkich i końskich trupów. Gdy nastąpiło trzecie natarcie, pułk wtedy

prawie cały został zmieciony. Pozostali ścisnęli się i uderzyli z gołemi szablami. Byli to sami młodzi żołnierze, z rękami i nogami odmrożonemi, długo też bronić się nie mogli i prawie wszyscy zginęli.

Scena ta odbywała się tuż przed nami, ale pomocy dać nie mogliśmy. Wróciło ich tylko jedenastu, reszta została zabita, ranioną lub wziętą do niewoli. Pułkownik Luzon, dowodzący nimi, był pokryty ranami, a kilku oficerów dostało się do niewoli.

Okolo godz. 2-iej w południe straty nasze wynosiły już trzecią część armii, najbardziej zaś ucierpieli strzelcy, którzy stojąc bliżej miasta, bardziej też byli na morderczy ogień wystawieni. Po pierwszej cesarz oddalił się z pierwszymi pułkami gwardyi, a na placu zostaliśmy tylko my i kilka plutonów rozmaitych korpusów, stawiając czoło więcej niż 50 tysiącom nieprzyjaciół. Marszałek Mortier wydał wtedy rozkaz odwrotu. Ruszyliśmy wolnym krokiem, ścigani kartaczami, zabierając z sobą mniej rannych.

Chwila opuszczenia pola bitwy była nad wyraz smutną, bo biedni nasi ranni, widząc, że porzucamy ich wpośród pola i otoczonych nieprzyjaciółmi, szczególnie woltażery z 1-go pułku z poszarpanemi nogami, zaczęli się czołgać za nami, krwawiąc śnieg wokoło. Podnosili ręce ku niebu, wydając rozdzierające serce okrzyki i błagając o pomoc. Lecz cóż mogliśmy dla nich zrobić? Podobny los oczekiwał i nas na każdym kroku.

Pole, które zajmowali strzelcy, pokryte było zwłokami naszych, w okropny sposób zmiażdżonemi

kartaczami. Pomiędzy nimi ujrzałem młodego podoficera nazwiskiem Capon; łączyły mnie z nim serdeczne związki, pochodził bowiem z Bapaume i uważaliśmy się za rodaków.

Przy wejściu do miasta po lewej stronie, na jakie dziesięć kroków od pierwszych domów stały armaty, które skierowane były na nieprzyjaciela, ciągnącego za nami. Około nich stało ze 40-tu kanonierów i wołtyżerów. Były to szczątki brygady, dowodzonej przez generała Longchamps, stojącego tutaj, by zwyciężyć, lub umrzeć

Generał, spostrzegłszy naszego pułkownika, podszedł ku niemu z rozwartymi ramionami, ucałowali się, jak dwaj ludzie, nie widzący się oddawna i prawdopodobnie witający się po raz ostatni. Generał z oczyma łez pełnemi odezwał się do pułkownika, wskazując mu na dwie armaty i na garstkę ludzi:

— Widzisz, to mi tylko pozostało!

Byli oni razem w wyprawie na Egipt.

Bitwa ta została wydana Kutuzowowi, naczelnemu wodzowi armii rosyjskiej. Francuzi, choć znacznie słabsi, nie dali się pobić; odwaga ich wzrastała z każdą chwilę, w końcu rzucili się na armaty.

Generał angielski, Wilson, obecny w czasie tej bitwy, nazwał ją bitwą bohaterów, lecz nazwa ta właściwą dla nas nie była, dla nas, cośmy z kilku tysiącami ludzi walczyli przeciwko całej armii rosyjskiej, liczącej 90,000 ludzi.

Zaledwie weszliśmy do Krasnego razem z generałem Longchamps i jego ludźmi, Rosyanie, którzy zajęli przedmieścia, przywitani nas gradem kul, które trafiły trzech naszych. Jednemu Biskajczykowi kula

wytrąciła karabin z ręki, który lecąc, rozdarł mu ramię, trafiła w głowę dobosza, idącego przedemną i zabiła go na miejscu.

Krasne podzielone jest dość głębokim wąwozem, nad którym stanawszy, ujrzeliśmy w głębi stado wołów, padłych z głodu i zimna. Były one tak zmarznięte, że nawet toporem rozrąbać się nie dały. Należały do armii, a mróz i brak pokarmu stał się przyczyną zguby.

Wszystkie domy tej nędznej mieściny, jak również i klasztor, napelnione były rannymi, którzy widząc, że zostawiamy ich na pastwę nieprzyjaciół, zegnali nas rozdzierającymi okrzykami. Lecz trudno, zmuszeni byliśmy porzucić ich na łaskę bezlitosnego nieprzyjaciela, który grabił tych nieszczęśliwych, bez względu na ich rany i położenie.

Rosyanie szli ciągle za nami, lecz w tak małej ilości, że wielkiej szkody wyrządzić nam nie mogli, zresztą i droga, po której szliśmy, była wklęsnięta, kule przelatywały ponad naszymi głowami, a kawaleria, maszerująca po lewej stronie, nie dozwalała im przysuwać się zbyt blisko ku nam.

Znalazłszy się o dobre ćwierć mili po za miastem, odetchnęliśmy trochę swobodniej; maszerowaliśmy dalej bardzo przygnębieni, myśląc o naszym losie i naszych biednych opuszczonych towarzyszach. Zdaje mi się, że widzę ich dziś jeszcze, błagających o pomoc. Na drodze w kilku miejscach leżeli ranni, prawie nadzy, którym Rosyanie zdarli odzież i tak porzucili. Byliśmy na tyle szczęśliwi, że mogliśmy im pomóc, przykrywając ich tem, co miał kto na zbyciu.

Cesarz nocował tego dnia w Ładni, małej wio-

sce, pułk nasz stanął buwakiem trochę dalej. Przechodząc przez ową wioskę, zatrzymałem się koło jakiejś chałupy, by się rozgrzać przy ognisku, i wtedy to spotkałem się z sierżantem Guignard, pochodzącym z naszych stron, i z Węgierką jego, markietanką, oboje dali mi trochę zupy z kaszy i kawalek koniny, co dodało mi sił. Potrzebowałem takiego posilenia bardzo, bo byłem nadzwyczaj osłabiony, nie jedząc prawie nic od dwóch dni. Opowiedział mi, że podczas bitwy oddział ich bardzo ucierpiał i że znacznie zmniejszony został, straty ich w porównaniu z naszymi były niewielkie. Wyraził także radość z mego widoku, dodając, że dużo myślał o mnie w czasie bitwy. Dopytywał się także o kapitana Débounez, lecz nic mu nie umiałem powiedzieć, bom go nie widział od rana dnia 16 go. Rozstaliśmy się w końcu, a ja poszedłem do oddziału. Noc ta była nadzwyczaj przykłą, śnieg padał gęsty, moczając nas do kości, do tego jeszcze dał silny wicher, a ognia nie było. Wszystko to jednak niczem jeszcze było w porównaniu z tem, co nas spotkać miało.

Koło północy patrol naszego biwaku zawiadomił mnie, że jedzie ktoś w naszą stronę. Pobieglem tam zaraz z dwoma ludźmi, by się przekonać, kto by mógł być. Poznałem kawalerzystę, poprzedzanego przez piechura, którego zmuszał siłą do drogi. Był to dragon z gwardyi, który, by zdobyć sobie żywność dla siebie i konia, udał się do obozu rosyjskiego, wdziawszy dla niepoznaki kaszkiet kirasyera rosyjskiego, którego zabił rano. W ten sposób przebiegł cały ich obóz i zabrał z sobą snopek słomy, trochę mąki i raniwszy cięciem szabli jednego z żoł-

nierzy, drugiego wziął do niewoli. Dzielny ów dragon zwał się Meles i pochodził z Condée. Powiedział mi, że wyprawił się nie dla siebie, ale dla swego biednego konia, Cadeta, bo tak się zwał, postanawiając sobie za jakąbądź cenę dostarczyć mu żywności.

— Jeżeli teraz ocalę mu życie, to kiedyś wzamian on mi je ocali!

Po raz drugi to już puszczał się tak śmiało do obozu Rosyan.

Szczęśliwie powrócił do Francji razem ze swoim koniem, który był z nim w czasie pruskiej i polskiej kompanii w r. 1806—1807, w 1808 r. w Egipcie, w 1809 w Niemczech, w 1810—1811 w Hiszpanii, w 1812 w Rosji, następnie w r. 1813 w Saksonii, a w 1814 we Francji. Biedny ten koń zabity został pod Waterloo, biorąc udział w dwunastu wielkich bitwach, prowadzonych przez cesarza, i więcej niż trzydziestu utarczkach. W czasie naszego odwrotu spotkałem raz jeszcze dragona, rąbiącego łód na środku jeziora toporem, by dostać wody dla swego konia. Pewnego razu widziałem go znowu na płonącym dachu jakiejś stodoly, z której chciał wydostać słomy dla niego.

Nietylko jeden Meles wyprawił się do obozu nieprzyjacielskiego dla zdobycia sobie żywności, ale wielu czyniło to samo i ginęło w niedostępnych lasach lub też napadnięci przez partyzantów armii rosyjskiej. Nakoniec nędza była tak wielką, że żołnierze odłączali się od pułków i bocznymi ścieżkami szli, spodziewając się znaleźć jakie wioski, jeżeli można było tak nazwać zbiór ~~laski~~ biednych chat ~~laski~~ drewnianych, w których nigdy nic nie było. Nie

wiem, doprawdy, czem się wieśniacy rosyjscy żywili, bo ci, którzy udawali się na takie wycieczki, wracali czasem z kawałkiem chleba czarnego jak węgiel i do tego tak twardego, że nie można było go ugryźć, tembardziej, że wargi nasze były poranione i porwawione od mrozu. Był to zresztą kraj dyabelski, bo piekło otaczało nas wokoło.

VII.

Dalszy odwrót. — Biorę w opiekę kobietę. — Zniechęcenie. — Gubię mój oddział. — Sceny dramatyczne. — Spotkanie z Picartem.

Nazajutrz po bitwie pod Krasnem, w dniu 18 listopada, wyruszyliśmy dalej w drogę, która dnia tego była nadzwyczaj męczącą i smutną, bo nastąpiła odwilż i do samego wieczora panowała tak straszna mgła, że nic widać nie było. Żołnierze nasi maszerowali jeszcze w porządku, lecz widocznem już było, że bitwa dnia poprzedniego ujemny wpływ wywarła na nich, szczególnie zaś porzucanie bezli-
tośne chorych i rannych towarzyszków, gdyż każdy czuł, że i jego podobny los czeka.

Byłem dnia tego strasznie zmęczony i jeden z żołnierzy, nazwiskiem Labbé, bardzo do mnie przywiązany, widząc, że idę z wielkim trudem, ofiarował się, że nieść będzie worek. Ponieważ wiedziałem, że jest bardzo uczciwym, powierzyłem mu go, a z nim razem prawie i życie moje, gdyż zawierał w sobie więcej niż funt ryżu i kaszy, przypadkiem znalezionej w Smoleńsku i zachowanej na chwile bardziej

krytyczne, to jest takie, w których zabraknie nam koni. Cesarz maszerował wtedy pieszo z kijem w rękę.

Wieczorem chwycił mróz i nastąpiła tak straszna ślizgawica, że się utrzymać na nogach nie można było, ludzie padali co chwila, kilku skaleczyło się nawet. Szedłem po za korpusem, z oczyma utkwionemi w Labbégo, poczynając żałować tego, że mu worek powierzył i postanawiając sobie odebrać go wieczorem, gdy staniemy biwakiem. Nastąpiła w końcu noc, lecz tak ciemna, że nic widać nie było. Co chwila wołałem:

— Labbé! Labbe! On mi zaś odpowiadał:

— Obecny, mój sierzancie.

Ale raz zamiast niego odpowiedział mi kto inny, że on przed chwilą upadł, ale prawdopodobnie idzie teraz za nami. Nie zaniepokoiłem się tem bardzo, bo za chwilę mieliśmy się zatrzymać i zająć pozycję. Złączyła się wtedy cała armia, brakowało tylko korpusu marszałka Ney'a, który szedł za nami i który uważano za przepadły.

Każdy ułożył się jak mógł. Kilku nas zajęło wielką stodołę, razem z wielu żołnierzami. Ci, co przybyli później, widząc, że nie ma dla nich miejsca, uczynili to, co zwykle robiono w podobnych okolicznościach, wleźli na dach, i w jednej chwili znaleźliśmy się w takim położeniu, jakbyśmy byli w otwartym polu. Dano nam znać, że trochę dalej stoi cerkiew prawosławna, przeznaczona dla naszego oddziału, ale zajęta już przez żołnierzy z rozmaitych pułków, którzy nie chcą wyjść stamtąd.

Dowiedziawszy się, gdzie się owa cerkiew znaj-

duje, poszliśmy tam we dwunastu. Przy wejściu spotkała nas gwałtowna opozycja ze strony tych, co tam byli. Byli to Niemcy, Włosi i kilku Francuzów, którzy z początku grozić nam zaczęli bagnietami, na co odpowiedzieliśmy im tak samo. Odsunęli się trochę i jakiś Włoch zawołał:

— Nabijcie broń!

— Nasza także jest nabitą — odpowiedział jeden z naszych. Walka miała się już rozpocząć, gdy przybyła nam pomoc w ludziach z naszego pułku. Tamci widząc, że się nie utrzymają i że my nie myślimy ustąpić, wyszli i rozłożyli się w pobliżu.

Mróz znacznie się zwiększył w czasie nocy, zerwał się szalony wicher, połączony z dużym śniegiem. Nazajutrz rano, wyruszając, znaleźliśmy nie daleko od miejsca naszego spoczynku na drodze kilkunastu tych biedaków, którzy za słabi, by iść dalej, leżeli martwi na śniegu. Przeszliśmy koło nich, nie mówiąc nic do siebie. Jakież smutne myśli powinny nam być przyjść na widok tego obrazu, którego w części byliśmy przyczyną? Znajdowaliśmy się jednak już w takim stanie, że rzeczy najbardziej tragiczne stały się dla nas zupełnie obojętnymi, mówiliśmy do siebie bez wzruszenia i z zimną krwią, że wkrótce zmuszeni będziemy żywić się trupami, bo w przeciągu kilku dni zabraknie nam koni.

Po godzinnym marszu przyszliśmy do Dąbrowny, małego żydowskiego miasteczka, o domach drewnianych, w których zamieszkał cesarz z grenadierami, strzelcami gwardyi i częścią artyleryi. Znaleźliśmy ich pod bronią, a tłumaczyli się tem, że w nocy fałszywy alarm zmusił ich do tego. Zamiast

więc spędzić noc w mieszkaniach, nieszczęsny los kazał mi ją przebyć na mrozie i śniegu.

Ztąd udaliśmy się do Orszy. Po drodze przebyć musieliśmy głęboki wąwóz, przez który z trudem przeciągnęły nasze bagaże i w którym zginęło mnóstwo koni. W Orszy ufortyfikowanej znaleźliśmy cały pułk, złożony z ludzi różnych reglmentów, pomiędzy nimi było i kilku Polaków. Widok nasz wywarł na nich nieopisane wrażenie, a szczególnie widok maruderów, idących bez żadnego porządku. Gwardya zajęła się utrzymaniem porządku i rozdaniem mąki i wódki. Znaleźliśmy tu most pontonowy i przez jakąś dziwną fatalność losu most ów spaliliśmy, nie przypuszczając nawet, że przy przejściu przez Berezynę byłby nam oddał nieocenione usługi.

Z całej gwardyi cesarskiej, składającej się z 35,000 ludzi, pozostało nas tylko od 7 do 8,000, a resztki te, choć maszerowały jeszcze w porządku, jednak ledwie wlokły nogi za sobą. Jak już powiedziałem, cesarz i część gwardyi stanęła w mieście, reszta biwakowała w okolicach. Podczas nocy marszałek Ney, którego uważaliśmy za straconego, przybył z niedobitkami swej armii, pozostało mu od 2 do 3,000 żołnierzy z pierwotnych siedemdziesięciu tysięcy. Cesarz ucieszył się podobno bardzo na widok przybywającego marszałka.

Odoczynek nasz trwał tylko dzień jeden, podczas którego napróżno szukałem Labbého.

Dnia 22 wyruszyliśmy wczesnie w drogę, bardzo ciężką z powodu ślizgawicy. Koło południa doszliśmy do Tolczyna, gdzie cesarz nocował. Na drodze stanęliśmy dywizjami. Powiedział mi wtedy

oficer naszego pułku, Serraris, że widział Labbégo, zajętego gotowaniem sobie czegoś, że kazał mu złączyć się z oddziałem, na co ten odpowiedział mu, że idzie zaraz. Ale prawdopodobnie zginął, bo gdy Serraris odchodził, ukazała się chmara kozaków. Pożegnać się więc musiałem z workiem i z tem, co zawierał. Tak bardzo pragnąłem zanieść jego zawartość do Francyi, i jakże czułbym się dumnym, mogąc powiedzieć: — Przyniosłem z Moskwy!

Chcąc się jednak przekonać o prawdzie słów Serraris'a, zawróciłem na koniec wsi, napelniony łązęgami, niesłuchającymi nikogo i oczekującymi na kozaków, których widać było zdaleka, jak prowadzili naszych więźniów, a z nimi i mój biedny worek.

Wracając, rozglądałem się na lewo i prawo, i naraz spostrzegłem jakąś kobietę w płaszczu żołnierskim, przyglądającą mi się uważnie. Zdawało mi się, że ją już gdzieś widział. Zbliżyła się do mnie, mówiąc, że widziała mnie w Smoleńsku w owej piwnicy. Opowiedziała mi, że owi napastnicy dostali się do niewoli w Krasnem, że przedtem strasznie ją zbili, gdy nie chciała pracować im koszul, że gdy wyszła po wodę, ujrzała Rosyan i nie uprzedzając swoich o niebezpieczeństwie, uciekła i przyłączyła się do gwardyi cesarskiej.

W Smoleńsku po moim wyjściu od nich, złoczyńcy udali się na wyprawę, z której wrócili z mantelzakami; z obawy przedemną zmienili mieszkanie, na którem pozostali przez dwa dni, nie wiedząc, co zrobić ze skradzionymi rzeczami; dobosz i Badeńczyk wyszukali jakiegoś żyda, któremu posprzedawali je i na dzień przed nami wyruszyli do Krasnego.

W czasie drogi natrafiali kilkakrotnie na kozaków i zabiwszy ich pięciu, ograbili do szczętu, chcąc przebrać się za nich, by lepiej okradać swoich i zabezpieczyć się od Rosyan. Trzeba dodać, że pod kozackiem ubraniem zostawili francuskie, by zmieniać rolę w razie potrzeby.

Opowiadałaby mi pewnie dłużej, gdybym miał czas ją słuchać, spytałem się tylko, z kim jest, na co mi odpowiedziała, że z nikim, i że jeżeli chciałbym wziąć ją pod swą opiekę, to wyrządzą jej wielką usługę. Zgodziłem się na to chętnie, nie myśląc o tem, jak to będzie wyglądać, gdy ukaże się w pułku z kobietą.

Gdym jej opowiedział smutną historję mego worka, uspokoiła mnie, zapewniając, że jej jest dobrze napełniony i spytała się, czy nie zmienilibym bielizny, bo może mi ją dać. Zgodziłem się na to i już szukaliśmy odpowiedniego na ten cel miejsca, gdy rozległy się okrzyki: „Do bronii!“ i zagrano pobudkę. Kazałem jej czekać na mnie na drodze.

Gdy przybyłem do pułku, sierżant spytał się o Labbego. Na mą przeczącą odpowiedź i na wiadomość o kobiecie, zawołał:

— Kobietę! a na cóż ci ona? Przecież nie do prania bielizny, bo jej nie masz!

— Ale ona mi da.

— A to co innego, ale co jej dasz jeść?

— To, co i sam będę jadł!

Rozkazano zwinąć się w czworobok. Cezarz przyjechał z królem Muratem i ks. Eugeniuszem i umieściwszy się wśród grenadyerów i strzelców, przemówił do wojska, zawiadamiając je, że Rosya-

nie oczekują nas przy przejściu przez Berezynę i że zaprzysięgli sobie ani jednego z nas nie przepuścić. I wyciągnawszy szablę, podniesionym głosem zawołał:

— Przysięgnijmy sobie raczej umrzeć z bronią w dłoni, niż się poddać!

Przysięga śmierci spełnioną została z czapkami w rękę i z pałaszami sprezentowanymi, rozległ się okrzyk:

— Niech żyje cesarz!

Chwila ta była bardzo uroczystą, pozwoliła nam ona zapomnieć o nędzy naszej i gdyby Rosyanie znaleźli się byli wtedy na naszej drodze, to choćby byli stokroć silniejsi, byłibyśmy ich zgnetli. W tym nastroju pozostawaliśmy do chwili poruszenia się prawej kolumny.

Nie zapominałem o mej kobiecie i w chwili wymarszu szukałem jej na drodze, lecz nie znalazłem. Porwaną została zapewne przez potok tysiąca ludzi z korpusu ks. Eugeniusza, marszałków Ney'a i Davoust'a, idących w nieładzie i nieporządku, tylko kilka pułków utrzymało jaki taki porządek.

Wtedy to widziałem marszałka Lefèvre, obok którego znalazłem się nie wiadomo jak. Szedł pieszo, sam jeden, z kijem w rękę przez środek drogi, wołając co chwila:

— Maszerujmy, towarzysze, łączmy się, boć lepiej iść w batalionach, niż jak złoczyńcy i włóczęgi.

Marszałek zwracał się do tych, którzy pod rozmaitemi pretekstami oddalali się od armii i którzy szli w tyle lub na przodzie, zależnie od okoliczności.

Szukałem jeszcze ówek kobiety, głównie ze

względu na bieliznę, którą mi obiecywała, a której rzeczywiście potrzebowałem, lecz nie znalazłem jej.

Do Krasnego zapatrywałem się jeszcze na wszystko dość wesoło, pomimo całej naszej nędzy, ciągle zdawało mi się, że im więcej przeniesiemy niebezpieczeństw i niewygód, tem większa będzie chwała i honor. Wszystko znosiłem dotąd z wielką cierpliwością, która zadziwiała mych towarzyszków, ale od owej krwawej bitwy, a szczególnie, od chwili, gdy dowiedziałem się, że dwóch mych przyjaciół, oprócz Beloque'a i Capona, zostało zabitych jeden po drugim, zniechęcenie ogarniać mnie zaczęło. Dla dopełnienia mych trosk sanie jakieś zatrzymały się koło mnie. Spytałem się, kogo wiozą, na co odpowiedziano mi, że oficera naszego pułku. Był to Legrand, raniony w następujący sposób. Laporte, jego towarzysz z Casseł, oficer tegoż co i on pułku, leżał chory w Krasnem, ale na wieść o bitwie, idąc za głosem odwagi, zerwał się. Zaledwie jednak wszedł w szeregi, kula armatnia strzaskała mu nogi. Legrand zbliżył się do niego, by mu pomódz, ale w tejże chwili trafiony został.

Laporta zwłoki pozostały na polu bitwy, jego zaś zabrano do miasta, a następnie umieściwszy na lichym rosyjskim wozie, wieziono dalej. Zaraz pierwszego dnia złamał się wóz, na szczęście obok znajdowały się sanie, na które go przeniesiono, inaczej musiałby zostać na drodze. Towarzyszyło mu czterech ludzi z pułku. Opuściłem go, ściskając mu serdecznie rękę i życząc szczęśliwej drogi, odrzekł mi na to, że rachuje na opiekę Boską i na przyjaźń swych dzielnych kolegów.

Od tej chwili zmieniłem się, smutek, czarne przecucia pochwyliły mnie, głowa płonęła, dostałem febry, nie wiem czy wskutek zmęczenia, gdyż od chwili złączenia się ze szczątkami armii, wyruszyliśmy bardzo wcześnie, a zatrzymywaliśmy się bardzo późno, nie robiąc zbyt wiele drogi. Dnie były krótkie, widno robiło się koło godziny 8 ej, a noc koło 4-ej. Dlatego to tylu nieszczęśliwych żołnierzy błędziło i ginęło, gdyż na biwaki przybywano zawsze nocą i do samego rana rozlegały się słabe okrzyki: „Czwarty korpus!... Pierwszy korpus!... Gwardya cesarska!... a inni zmuszali się do odpowiedzi: „Tu, towarzysze!“

Nikt siebie nie poznawał i nie wiedział, do jakiego pułku należy. Byli i tacy, co maszerując dzień cały, w nocy bładzili, by odnaleźć korpus, do którego należeli. Rzadko im się to udawało, nie wiedzieli o godzinie wymarszu.

Stałem ciągle koło ognia, drżący cały i wsparty na karabinie. Trzech ludzi siedziało obok, nie mówiąc nic i spoglądając machinalnie na przechodzących. Zacząłem się niepokoić, nie widząc swego korpusu, gdy naraz szarpnął mnie ktoś gwałtownie. Był to Grangier, który powiedział mi, że pułk już przeszedł. Miałem więc oczy tak strasznie zmęczone, że nawet nie widział.

— Gdzież twoja kobieta? — spytał się Grangier.

— A któż ci powiedział, że ją mam?

— Sierżant - major, lecz gdzież ona?

— Nie wiem, wiem to tylko, że miała na ramieniu worek, a w nim bieliznę, tak mi potrzebną. Jeżeli kiedykolwiek spotkasz ją, to mi powiesz: Ubra-

ią była w płaszcz popielaty żołnierski, czapkę babianią, czarne buty na nogach i koszyk w rękę.

Grangier, sądząc, że jestem chory, gdyż ciągle mi mówił, że mam gorączkę, wziął mnie za rękę, sprowadził z drogi i rzekł:

— Chodźmy, bo z trudem tylko odnajdziemy pułk.

Dotarliśmy w końcu do armii, która ciągnęła z mozołem, myśląc, że dzień ten dla wielu jest ostatnim i że droga jest jeszcze bardzo długa.

I była taką rzeczywiście, bo przeszedłszy miejscowość, której imienia nie pamiętam, a w której nocował cesarz, dowiedzieliśmy się, że jeszcze dwie mile przebyć trzeba, by dotrzeć do miejsca, przeznaczonego na biwaki.

Droga była szeroka i wysadzona wielkimi jodłami, które ułatwiały nam pochód, lecz im dalej posuwaliśmy się, tem więcej napotykalśmy końskich zwłok i opuszczonych sani i wozów, ludzi umierających ze zmęczenia i zatrzymujących się na drodze, by spocząć, którzy dowodzili, że mają tu to, czego gdzieindziej nie znajdują, to jest drzewo na ogień, wozy na postanie i mięso końskie.

Oddawna szedłem już sam w kohorcie, zmuszając się prawie do drogi, coraz gorszej i uciążliwszej z powodu gołoledzi. Tak zaskoczyła mnie noc.

Północny wicher dał z niepohamowaną siłą od kilku chwil. Straciłem z oczu towarzyszków, tylko kilkunastu żołnierzy ciągnęło powoli, czyniąc nadludzkie wysiłki, by dotrzeć do swego pułku. Na moje słowa nic mi nie odpowiadali, bo nie mieli sił. Wielu padało, by już nie powstać więcej. Wkrótce zostałem sam jeden, w towarzystwie trupów, wskazujących mi

drogę. Mogła być godz. 7-ma; śnieg, sypiący wielkimi płatami, przeszkadzał mi widzieć kierunek drogi, a silny wicher rozwiewał ślady.

Skórę niedźwiedzią miałem dotąd włosem na wierzch, ale spodziewając się mroźnej nocy, zatrzymałem się na chwilę i wywróciłem ją na wierzch, czemu to zapewne zawdzięczałem możliwość przeżycia tej okropnej nocy i oparcia się 22 stopniom mrozu. Posuwałem się jeszcze z godzinę, ale nie uszedłem więcej, jak ćwierć mili, zawracając często dla omińnięcia ludzkich trupów, szczątków wozów, często myliły mi one drogę i musiałem szukać jej na nowo.

Księżyc, a właściwie odbłask zorzy północnej przyświecał, o ile nie przysłoniły go chmury, płynące ze straszną szybkością. Przy blasku tym rozróżniałem przedmioty i w dali ujrzałem jakąś czarną masę. Przypuszczałem, że jest to ów wielki las, który mieliśmy przebyć, by dojść do Berezyny, gdyż byliśmy już na Litwie.

Sen, zwiastun śmierci w podobnych okolicznościach zaczął mnie ogarniać, nogi odmawiały mi posłuszeństwa, siły się wyczerpały. Kilkakrotnie upadłem już zasypiając i tylko śnieg budził mnie i zmuszał do dalszej drogi.

Miejscowość ta była całkiem pokryta trupami ludzi i koni, tamującymi mi drogę, bo sił nie miałem już podnosić nóg. Przewracając się, miewałem takie wrażenie, jakby jeden z tych nieszczęśliwych zatrzymywał mnie, gdyż zdarzało się i tak, że ci umierający chwyтали idących, błagając o pomoc.

Maszerowałem koło dziesięciu minut bez oznaczonego kierunku, zupełnie jak człowiek pijany, kolana drżały pod ciężarem mego słabego ciała, czułem, że zbliża się ostatnia moja godzina. Potknąwszy się naraz, upadłem jak długi i nie mogłem już powstać. Przyszedłszy cokolwiek do siebie, ukląknłem i szukać zacząłem broni, by z pomocą jej powstać, lecz spostrzegłszy, że krew broczy mi się z ust, wydałem okrzyk rozpaczny i wstałem drżąc z zimna i przerażenia.

Krzyk mój usłyszał ktoś leżący o kilka kroków na prawo odemnie; głos słaby i żałosny doszedł mych uszów i wyraźnie usłyszałem błaganie o pomoc mnie, której i ja tak bardzo potrzebowałem.

— Zatrzymaj się. Pomóż nam!

Wkrótce wszystko ucichło. Podczas tego zachowywałem się milcząco, by słuchać i szukać oczywiście tego, który się skarżył. Nie usłyszawszy jakiś czas nic, zacząłem krzyczeć z całych sił: „Gdzież jesteś?” Echo powtórzyło dwa razy to samo. Szepnąłem wtedy do siebie: „Boże, co za nieszczęście, gdybym miał choć jednego towarzysza niedoli, zdaje mi się, że maszerowałbym noc całą, podtrzymując się nawzajem!” Zaledwie wymówiłem te słowa, gdy tenże sam głos, lecz o wiele smutniejszy, odezwał się znów:

— Chodź do nas.

W tej chwili ukazał się księżyc i o dziesięć kroków ujrzałem dwóch ludzi, z których jeden siedział, a drugi leżał. Dostawszy się do nich z trudem, odezwałem się do siedzącego, a ten odpowiedział mi z głupkowatym śmiechem:

— Przyjacielu, nie zapomnij o tem, co wiesz!

Był to śmiech śmierci. Drugi żył jeszcze i odwróciwszy trochę głowy, wyrzekł słowa, których nigdy nie zapomnę: „Ratuj mego wuja, pomóż mu, bo ja umieram.“

Głos ten był głosem, który się już odzywał. Na moje pytania nic mi już nie odpowiedział. Wtedy zacząłem go namawiać, by poszedł za mną, lecz tylko spojrział się na mnie za całą odpowiedź. Chciałem mu pomóc wydostać się z futrzanego płaszcza, lecz było to niemożliwem. Na ramionach błyszcząły mu szlify oficerskie. Opowiedział mi coś jeszcze o przeglądach, o uroczystościach, poczem skończył, upadając twarzą. Pierwszy z nich nie żył już. Obok niego leżała torba, którą zabrałem, spodziewając się znaleźć w niej cokolwiek mi potrzebnego.

Ruszyłem dalej, nadstawiając ciągle uszu, bo zdawało mi się, że w koło słyszę jęki i skargi. Nadzieja natrafienia na jaki biwak przyśpieszała me kroki. Na drodze, potknąwszy się o jakiegoś martwego konia, usiadłem mu na szyi, w koło leżały rozciągnięte trupy ludzkie. Większość zginęła prawdopodobnie przy rozbieraniu konia, z mrozu i zmęczenia.

Na ziemi obok leżał niewielki toporek, podniosłem go i starałem się uciąć nim kawałek mięsa, było to jednak niemożliwem, gdyż mięso było zmarznęte, jak kość. Zmarnowawszy resztę sił, padłem ze zmęczenia, lecz się za to rozgrzałem.

Podnosząc toporek zauważyłem, że rozłupane kawałki lodu są zmarznętą krwią końską. Zebrałem ją starannie w worek, następnie zjadłem jej trochę i pokrzepiwszy, się ruszyłem w dalszą drogę, spuszczać

się na opatrność Boską, unikając trupów, macając w ciemnościach, gdy chmury zakryły księżyc.

Po niejakiś czasie zauważyłem coś czerniejącego w dali. Z początku wziąłem to za skrzynię, ale zbliżywszy się, poznałem w tem wóz markietanki z pułku młodej gwardyi, którą widziałem kilkakrotnie w drodze od Krasnego, pilnującą dwóch rannych strzelców.

Konie były martwe i prawie zjedzone, obok wozu leżało siedem trupów prawie gołych, pokrytych śniegiem; jeden z nich tylko miał na sobie kożuch barani. Zbliżyłem się, by mu się przyjrzeć, lub co prawdopodobniejsze, by zeń zedrzeć ów kożuch, lecz wtedy poznałem w trupie kobietę.

W podobnem, jak moje położeniu, zachowanie swej egzystencyi bywa zawsze pierwszą myślą i dlatego to zebrałem wszystkie siły, by uciąć kawałek konia, nie myśląc o tem, że przed chwilą padłem ze zmęczenia, chcąc zrobić to samo. Wziąwszy topór w obie ręce, uderzyłem z całej siły w konia, lecz również bez skutku. Przyszła mi wtedy myśl wsunięcia ręki w środek konia, by tym sposobem wydobyć serce, wątrobę, lub coś innego, lecz były to próżne usiłowania, bo miałem rękę odmrożoną i jeden palec zaczął mi już odpadać. Nie wyzdrowiał mi aż w Paryżu w marcu 1813 roku.

Zdecydowałem się spędzić noc na wozie zakrytym, którego nie przeglądałem, będąc pewnym, że niema tam nic do jedzenia, przedtem jednak chciałem ściągnąć z kobiety kożuch, ale ruszyć jej nie mogłem. Wziąłem więc strzelbę i posiłkując się nią, jak lewarem, podsunąłem ją pod ciało. Zaledwie za-

brałem się do tego, rozległ się rozdzierający okrzyk, wychodzący z wozu. Odwróciłem się i wtedy głos ten zawołał:

— Maryo, Maryo pić, bo ja umieram!

Stałem jak wryty. Po chwili rozległo się: „O mój Boże!“ Przyszła mi myśl, że to są nieszczęśliwi ranni, których porzucano, nie wiedząc nawet o tem.

Zbliżywszy się do wozu, zapytałem się czego chcą, na co odpowiedziano mi z trudem: „Pić!“ Pomyslałem zaraz o zmarzniętej krwi i szedłem już po nią, gdy księżyc schował się za chmury, Myśląc, że stawiam nogę na czymś pewnem, zwróciłem się trochę na bok i runąłem na trzy leżące obok siebie trupy. Nogi miałem wyżej, niż głowę, a całe me ciało na brzuchu zmarłego. Choć od miesiąca już przyzwyczajony byłem do podobnego towarzystwa, ogarnęło mnie jednakże coś okropniejszego jeszcze, niż strach, być może dlatego, że byłem sam jeden. Zdawało mi się, że zmora mnie dusi i chwilę milczałem na pół nieprzytomny, następnie krzyczęć zacząłem przeraźliwie, bo zdawało mi się, że trzyma mnie ktoś i wypuścić nie chce. Pomimo wysiłków, podnieść się nie mogłem, chcąc się podeprzeć ręką, położyłem ją mimowoli na twarzy, wtykając palce w rozwarłe usta.

Księżyc ukazał się znów, tak, że mogłem widzieć wszystko, co mnie otaczało. Dreszcz mnie przeniknął, po chwili jednak nastąpiła zmiana, wstydić się zacząłem mej słabości i zamiast strachu, coś jakby szaleństwo mnie ogarnęło. Wstałem, przeklinając, i stawiłem nogi na wszystkim, co mnie otaczało. Wzię-

wszy strzelbę, rzuciłem ją na wóz; nie pamiętam, czym nią nie uderzył którego z leżących tam biedaków.

Uspokoiwszy się trochę, postanowiłem spędzić noc na wozie obok rannych, gdzie byłbym choć cokolwiek zasłonięty od wiatru i wzięwszy trochę krwi z worka, wdrapałem się na wóz, chcąc znaleźć tego, który prosił pić i który nie przestał jęczeć słabo.

Spytałem się, do którego należy pułku, lecz nic mi nie odpowiedział. Poszukawszy głowy, z trudem włożyłem mu w usta kawałek lodu. Leżący obok niego był zimny i twardy jak marmur. Chciałem go zrzucić z wozu, by zająć jego miejsce i doczekawszy się dnia, ruszyć w drogę z tymi, co idą za nami, lecz nie miałem siły podnieść go, zresztą brzeg wozu był za wysoki, tak, że nie mógłbym go zrzucić. Widząc, że pierwszemu zostaje się może jeszcze kilka chwil życia, nakryłem go kapotami, jakie miał na sobie, i posiedziawszy nieruchomie jakiś czas, zacząłem szukać, czy nie znajdę czego. Położywszy po chwili rękę na twarzy żyjącego, uczulem, że jest zimną, a w ustach trzymał jeszcze kawałek lodu; przestał żyć i cierpieć.

Nie mogąc pozostać tu ani chwili dłużej, chciałem przed odejściem przypatrzeć się markietance, przypuszczałem bowiem, że to ta Maryja, którą znałem dobrze, lecz przekonałem się, że ktoś zupełnie inny.

Z karabinem na prawym ramieniu, z dwiema torbami, z toporem u boku, kawałkiem zmarzniętej krwi w ustach i rękami w spodniach, ruszyłem

w drogę. Mogła być godzina 9-ta, śnieg przestał padać, wiatr uspokoił się, a mróz zelżał trochę.

W pół godziny może księżyc znikł zupełnie. Była to rzecz najsmutniejsza dla mnie. Kilka chwil rozglądałem się wsparty na strzelbie, przebiegając nogami i oczekując na światło, które, niestety! już się nie ukazało.

Powoli oczy me przywykły do ciemności, tak, że widzieć mogłem o tyle, iż posuwałem się naprzód. Wtedy spostrzegłem, że zmieniłem kierunek, prawdopodobnie chcąc uniknąć północnego wiatru, a upewniłem się o tem, gdyż ślady armii na drodze znikać zaczęły.

Nie wiem jak długo szedłem, może jakie pół godziny, gdy spostrzegłem się, lecz już za późno, że stoję nad brzegiem przepaści, w którą stoczyłem się z wysokości stóp 40-tu. Trzykrotnie zatrzymały mnie krzaki, poczem upadłem na coś pustego, gdyż przedmiot ów wydał dźwięk.

Czas jakiś leżałem jak ogluszony. Strzelba wypadła mi z ręki, a ponieważ znaleźć jej nie mogłem, postanowiłem czekać do dnia. Wyciągnąwszy pałasz i macając nim w koło, posuwałem się naprzód. Przedmiot, na który upadłem, była to skrzynia i dwa końskie szkielety.

Chcąc znaleźć jakie dogodne miejsce dla spędzenia nocy, zatrzymałem się, nasłuchując i wyęzając wzrok. Uczułem naraz ciepło pod nogami, schyliwszy się, przekonałem się, że stoję na wygasłym ognisku.

Usiadłszy na ziemi, rozgrzebałem je i znalazłem kilka tlejących jeszcze węgli. Zacząłem je roz-

dmuchiwać i wypadło z nich kilka tlejących jeszcze iskier. Brakowało mi drzewa, ale nie śmiałem się oddalić po nie, bo ogień ów miał uratować mi życie. Obawiając się, by mi nie zgaś, rozdarłem koszulę, która i tak była w łachmanach, i rzuciłem ją w ogień. Następnie, macając, znalazłem kilka kawałków drzewa, które z trudem i cierpliwością udało mi się przecież zapalić. Płomień był o tyle duży, że przy jego blasku widziałem dobrze wszystkie przedmioty na jakie sześć kroków przedemną.

Na wierzchu skrzyni dużemi literami napisane było: „Gwardya Cesarska, Major Służbowy.” Nad napisem widniał orzeł cesarski. Wkoło, jak okiem zasięgnąć, leżały kaskiety, szable, karabiny, skrzynie, próżne mantelzaki, porozdzierane ubrania, siodła i nieskończona ilość innych przedmiotów. Przyszło mi wtedy na myśl, że miejsce to służyć mogło kozakom za biwak i ogarnął mnie szalony strach. Z pewnością, mówiłem sobie, byli to Rosyane, bo gdyby byli Francuzi, to ogień byłby większy, gdyż nie żalowali sobie, gdy mogli, a drzewa tu nie brakowało. Samo to miejsce, zakryte od wiatru, było doskonałem schronieniem.

Podczas tych moich myśli ogień zmniejszył się znacznie, a ja nie śmiałem go podsycić, jednakże chęć ogrzania się i odpoczynku zwyciężyła strach. Pozbierałem wszystko drzewo w koło, umieściwszy je przy sobie, i zamierzyłem spędzić w ten sposób noc.

Pomiędzy drzewem znalazłem końskie żebro, na którym pozostały jeszcze kawałki mięsa. Było to dosyć dla pożywającego mnie głodu, choć mięso to

pokryte było śniegiem i popiołem. Od wczoraj zjadłem tylko połowę martwego kruka i kilka łyżek kaszy ze sromą, osolonej prochem. Zaledwie mięso rozgrzało się, zacząłem je pożerać, rozglądając się na lewo i prawo, czy nie ujrzę kogo.

Moje położenie poprawiło się cokolwiek. Nie szedłem już, byłem zasłonięty od wiatru i zimna, miałem ogień i pokarm. Byłem tak zmęczony, że zasnąłem zaraz snem pełnym mar i bólu. Nie wiem, jak długo spałem, obudzivszy się, przekonałem się, że do dnia jeszcze daleko, bo w Rosyi noce są długie zimą, a latem niema ich prawie wcale.

Chcąc utrzymać ogień, który wracał mi siły, postanowiłem użyć do tego owej wielkiej skrzyni, zatrzymałem się jednak chwilę myśląc, że jeżeli dotąd nie przyciągnął nikogo, to tylko dlatego, że był niewielki, a mogłoby być przeciwnie, gdyby się skrzynia zapaliła.

Płomień tymczasem zwiększał się ciągle, pozwalając rozejrzeć mi się wkoło. Na lewo leżało coś, co z początku wziąłem za niedźwiedzia, wkrótce przekonałem się, że był to człowiek, idący na czworakach. Był on odemnie oddalony o jakie dziesięć kroków, ale jeszcze rozróżnić go dobrze nie mogłem. Gdy zbliżył się, pomyślałem sobie, że musi to być ranny, którego ogień mój przyciągnął. Schwyciłem za pałasz i zbliżając się do niego, zawołałem: „Ktoś ty?” Poznałem w nim Rosyanina, prawdziwego kozaka.

Podniósł się on nagle i przybierając postawę niewolnika, chciał ucałować mi nogi, mówiąc; „Dobry Francuz!” i te wyrazy, o ile zrozumia-

łem, świadczyły o jego obawie. Gdyby był domyślniejszy, spostrzegłby pewnie, że tak samo, jak i on, wystraszony jestem. Ukląkł, pokazując mi ranę od szabli na twarzy, i wtedy spostrzegłem, że gdy klęczał głowa jego dochodziła do mych ramion. Dałem mu znak, by zbliżył się do ognia. Z boku brzucha miał drugą straszną ranę, a rana na twarzy ciągnęła się przez całą głowę i ginęła w brodzie, świadcząc, że nie słaba ręka ją zadała. Umieściłem się naprzeciw niego, wpatrując się weń pilnie. Nie chciałem już spać, bo chciałem spalić jeszcze skrzynię. Ale naraz ogarnęło mnie przerażenie na myśl, że zawierać ona może proch.

Zaledwie myśl ta przyszła mi do głowy, zerwałem się i przeskoczywszy ognisko, uciekać zacząłem na prawo, ale potknąwszy się o jakieś zwłoki, upadłem jak długi. Na szczęście, nie poniosłem żadnego szwanku. Podniósłszy się, zacząłem maszerować z oczyma utkwionemi w miejsce, które opuściłem w obawie, by eksplozja nie nastąpiła. Uspokoiwszy się trochę, przekonałem się, że postąpiłem niemądrze, bo niebezpieczeństwo groziło mi tak samo o 20 kroków, jak i na miejscu.

Wziąwszy tedy kawałek płonącego drzewa, chciałem rozniecić nowy ogień trochę dalej, gdy naraz rozległa się muzyka, w której poznałem muzykę rosyjską, przekonywającą mnie, że nieprzyjaciel znajduje się blisko. Na dźwięki narodowe kozak podniósł głowę. Zacząłem przypatrywać mu się uważnie, chcąc wyczytać z jego twarzy, co on myśli, zdawało mi się, że i on miał tenże zamiar. Wtedy dopiero spostrzegłem, do jakiego stopnia człowiek ten

był odrażającym, karykatura Herkulesa z oczyma wilczymi pod niskim czołem, o włosach i brodzie rudej i twardej jak szczecina, nadającej mu dziki wyraz twarzy. Musiał strasznie cierpieć, chwilami bowiem ruszał się tak, jakby miał kurcze, zacinając zęby, jak kły wilka.

Przerwawszy robotę, słuchałem jak ogłupiały dzikiej muzyki; naraz po za mną rozległ się jakiś szmer. Odwróciłem się i wyobraźcie sobie moje przerażenie: skrzynia otworzyła się, a z niej wysuwać się zaczęła olbrzymia postać grenadyera, białego jak śnieg, podobnego do ducha Komandora, podtrzymującego jedną ręką wierzch skrzyni, a drugą szablę. Na ten widok cofnąłem się o kilka kroków, dobywając palasza. Czekałem, by się odezwał pierwszy, lecz widmo owo miało kłopot z dużym kołnierzem, którym okręciło sobie głowę.

Przerywając więc milczenie, niepewnym głosem spytałem się go:

— Czyś ty Francuz?

— Ależ naturalnie! dobre sobie. Stoisz tam jakby poświęcna świeca, nie ruszając się. by mi pomódz do wydostania się z tego grobu. Widzę, towarzyszu, że boisz się strasznie!

— Tak, to prawda, bo mogłeś być takim samym, jak ten, co śpi po drugiej stronie ognia.

Podczas tej rozmowy pomogłem mu wyjść. Wyobraźcie sobie moje zdziwienie, gdy poznałem w nim jednego z grenadyerów starej gwardyi, mego starego druha Picarta, pochodzącego z Pikardyi, a którego nie widziałem od naszej ostatniej rewii w Kremlinie, towarzysza, przy którym walczyłem po raz

pierwszy w szeregach. Biliśmy się pod Jeną, Pułtuskim, Hawą, Eilsbergiem i Friedlandem. Rozstałem się z nim po pokoju w Tylży, by spotkać się z nim znów w r. 1808 na płaszczyznach Hiszpanii w Mora, gdzie służył podemną, bo byłem wtedy kapralem.

Picart ledwie mnie poznał, tak strasznie zmieniony i wynędzniały byłem. Patrzyliśmy na siebie ze zdumieniem, ja, widząc go tak czystym i zdrowym, on — widząc mnie tak słabym i podobnym do Robinsona Kruzoa. Przerwał nakoniec milczenie:

— Powiedz mi, mój sierżancie, jakim sposobem spotkałem cię tutaj w tę noc samego w towarzystwie tego Kałmuka, spojrzij tylko na jego oczy.

Opowiedziałem Picartowi, w jaki sposób zjawił się on tutaj i ile strachu mi napędził.

— A ty, mój przyjacielu, zkądś ty się tu wziął?

— Przedtem zanim ci na to odpowiem, daj mi co do jedzenia, jeżeli masz.

— A jakże, mam kawałek suchara.

Otworzył zaraz swój worek, wyciągnął z niego suchar, duży jak dłoń, i dał mi go. Pożarłem go zaraz, boć od 27-go października chleba w ustach nie miałem. Jedząc, spytałem się go:

— Picart, a nie masz wódki?

— Nie.

— Ale zdaje mi się, że czuję gdzieś jej zapach.

— Masz słuszność — odpowiedział mi — gdyż wczoraj po rozbiciu skrzyni znaleźli w niej butelkę wódki, lecz się rozbiła.

Chciałem zobaczyć, w którym to miejscu. Gdy

mi je pokazał, zebrałem starannie śnieg z wódką, jak to zrobiłem z końską krwią:

— To nie tak głupio, nie myślałem o tem wcale.

Kawałek suchara, który zjadłem, jak również śnieg nasycony wódką, zrobiły mi bardzo dobrze. Opowiedziałem wtedy wszystkie me przygody Picartowi, który zaledwie chciał mi wierzyć. Jeszcze gorzej było, gdy opisałem mu nędzę i okropne położenie armii, jego pułku i całej gwardyi cesarskiej. Ci, którzy to czytać będą, zadziwią się zapewne, że Picart nie wiedział o tem. Jaka była tego przyczyna, opowiem w następnej części.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.

DOTYCHCZAS WYSZŁY:

Tom.

1. Juliusz Słowacki. **Powieści poetyckie**, z przedmową *Piotra Chmielowskiego*.
- 2, 3 i 4. Bolesławita. **Tułacze**, opowiadanie historyczne, z przedmową *Adama Pługa*.
5. Gustaw Le Bon. **Psychologia rozwoju narodów**, z przedmową *Juliana Ochorowicza*.
6. Eliza Orzeszkowa. **Trzy nowelle**, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.
7. Iwan Turgeniew. **Z zapisek myśliwego**, w przekładzie i z przedmową *Klemensa Junoszy*.
- 8, 9 i 10. Fryderyk hr. Skarbek. **Dzieje Księżtwa Warszawskiego**, z przedmową *Piotra Chmielowskiego*.
11. Wiktor Gomulicki. **Cudna Mieszczka**, obrazek warszawski, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.
12. Jan Kochanowski. **Psalterz Dawidów**, z przedmową *Bronisława Chlebońskiego*.
13. Jan Zacharyasiewicz. **Zakopane skarby**, powieść, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.
- 14 i 15. Bolesławita. **Czarna Perelka**, powieść, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.
16. Julian Mohort i Klemens Junosza. **Listy do przyszłej narzeczonej i Listy do cudzej żony**, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.
17. Teodor Jeske-Choiński. **Stłumione Iskry**, powieść, z przedmową *Ignacego Matuszewskiego*.
18. Juliusz Słowacki. **Poemata**, z przedmową *Piotra Chmielowskiego*.
19. Władysław Smoleński. **Szkoły historyczne w Polsce** (główne kierunki poglądów na przeszłość) studyum, z przedmową *Aleksandra Rembowskiiego*.

Tom.

20. Maryan Gawalewicz. **Szkice i obrazki**, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.
21. Piotr Chmielowski. **Liberalizm i obskurantyzm na Litwie i Rusi (1815—1825)**, z przedmową *Bronisława Chlebowskiego*.
- 22 i 23. Franciszek Wężyk. **Władysław Łokietek**, powieść historyczna, z przedmową *Juliana Mohorta*.
24. Roman Plenkiewicz. **Kształcenie młodzieży** (Nauczanie początkowe i średnie), z przedmową *Juliana Ochorowicza*.
25. Zygmunt Krasiński. **Irydyon**, z przedmową *Piotra Chmielowskiego*.
- 26, 27, 28 i 29. F. Bernatowicz. **Pojata, córka Lezdejki**, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.
30. Julian Ochorowicz. **Wiedza tajemna w Egipcie i Istota bytu**, z przedmową *Ignacego Matuszewskiego*.
31. Klemens Junosza. **Na zgliszczach**, powieść wiejska, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.
- 32 i 33. Anna Potocka. **Pamiętniki**, tłoczyła J. A., z przedmową *Piotra Chmielowskiego*.
34. H. Lachambre i A. Machuron. **Wyprawa Andréego balonem do bieguna**, w przekładzie M. O., z przedmową *Juliana Ochorowicza*.
- 35 i 36. Berta baronowa Suttner. **Precz z orężem!** historia prawdziwa, obrobił Włodzimierz Trąpczyński, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.
37. Fryderyk hr. Skarbek. **Pamiętniki Seglasy**, z przedmową *Piotra Chmielowskiego*.
- 38 i 39. Fridtjof Nansen. **Podróż do bieguna północnego**, w przekładzie i z przedmową *Stanisława Janiszewskiego*.
- 40, 41, 42. Wiktor Hugo. **Rok dziewięćdziesiąty trzeci**, z przedmową *J. A. Święcickiego*.
43. Klementyna z Tańskich Hofmanowa. **Dziennik Franciszki Krasińskiej**, z przedmową *T. Jeske-Choińskiego*.
44. Wiktor Biernacki. **Nowe dziedziny widma**, z przedmową *Juliana Ochorowicza*.
- 45 i 46. Hr. A. K. Tołstoj. **Książę Srebrny**, z przedmową *J. A. Święcickiego*.
47. Juliusz Słowacki. **Beniowski**, z przedmową *Piotra Chmielowskiego*.
- 48 i 49. Teodor Tomasz Jeż. **Szandor Kowacz**, z przedmową *Piotra Chmielowskiego*.
50. Adam Krechowicki. **Stella.—Tartówna**, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.
51. G. Kraemer. **Syberya i znaczenie wielkiej kolei Syberyjskiej**, w tłomacz. i z przedmową *Włodz. Trąpczyńskiego*.
- 52, 53, 54, 58. **Dzieje Narodu Polskiego**, z przedmową *Władysława Smoleńskiego*.

Tom.

55. Adolf Dygasiński. **Wilk, psy i ludzie.** — W puszczy, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.
- 56, 57. Marek Twain **Przygody Huck'a**, z przedmową *J. A. Święcickiego*.
59. **Pamiętniki Franciszka Karpińskiego**, z przedmową *Piotra Chmielowskiego*.
- 60, 61. J. I. Kraszewski. **Barani Kożuszek**, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.
62. Marya Rodziewiczówna. **Straszny Dziadunio**, z przedmową *Adama Pługa*.
- 63, 64, 65. Ludwik Gallet. **Kapitan Czart.**—**Przygody Cyrana de Bergerac**, przekład Gomulickiego, z przedm. *Święcickiego*.
- 66, 67. Oskar Mysing. **Berezyna**, w przekładzie i z przedmową *Włodzimierza Trąpczyńskiego*.
68. Konstanty Rengarten. **Pieszko do Chin**, w przekładzie Henryka Wernica, z przedmową *Juliana Ochorowicza*.
69. C. F. Gordon Cumming. **Życie w Chinach**, w przekładzie d-ra Wik. Wolskiego, z przedmową *Juliana Ochorowicza*.
70. Michał Bałucki. **Przekłete pieniądze**, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.
- 71, 72. Ferdynand Hoesick. **Miłość w życiu Zyg. Krasieńskiego**, z przedmową *Piotra Chmielowskiego*.
- 73, 74. Kajetan Kraszewski. **Bartochowski**, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.
- 75, 76, 77, 78, 79, 80. Cervantes. **Don Kiszot**, w przekładzie W. Zakrzewskiego, z przedmową *J. A. Święcickiego*.
81. Edmund Biernacki. **Istota i granice wiedzy lekarskiej**, z przedmową *Juliana Ochorowicza*.
- 82, 83. Anna Neumanowa. **Obrazy z życia na Wschodzie**, z przedmową *J. A. Święcickiego*.
84. Stanisław Grudziński. **Połpanek**, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.
- 85, 86. Teod. Tom. Jeż. **Nad rzekami Babilonu**. Powieść.
87. Teodor Jeske-Choiński **Historyczna powieść polska**. Studium krytyczno-literackie.
88. Włodzimierz Zagórski. **Wybór poezji**, z przedmową *Wiktora Gomulickiego*.
- 89, 92. **Pamiętniki Szymona Konopackiego**, z przedmową *J. A. Święcickiego*.
90. Maciej Wierzbieński. **Nowelle**, z przedmową *T. Jeske-Choińskiego*.
91. Piotr Chmielowski. **Historia Literatury Polskiej**, z przedmową *Bronisława Chlebowskiego*, z ilustracjami.
92. S. M. Roguski. **Wilcze gardła**, z przedmową *J. A. Święcickiego*.
93. **Pamiętniki Sierżanta Bourgogne'a**, w przekładzie i z przedmową *Walerego Przyborowskiego*.
-



716821

p12

1.